WŁ. ORKAN

NOWELE

Z PRZEDMOWĄ

KAZIMIERZA TETMAJERA

WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
1898

Дозволено Цензурою.
Варшава, 27 Января 1898 г.

NOWELE

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

Przywiozłem do Warszawy prace literackie p. Władysława Orkana (pseudonim), a los ich interesuje mnie z dwóch powodów: ponieważ wydaje mi się, że p. Orkan ma duży talent i ponieważ urodził się niedaleko moich stron rodzinnych, a to zawsze wiąże... Pragnąłbym mu ułatwić wejście na rynek literacki warszawski, poprostu zapoznać go z piszącymi i z publicznością.

Orkan jest synem włościan, górali z okolic Limanowy, zwanych u nas na Podhalu i w Nowotarszczyźnie zagórzanami albo kliszczami i kliszczakami; chodził do gimnazyum w Krakowie i obecnie złożył maturę.

Zdaje mi się, że on, wraz z p. Stopką Nazimkiem z Zakopanego, prawnikiem, autorem świeżo wyszłej, bardzo ciekawej książki o Sabale i z p. Wojciechem Brzegą, także z Zakopanego, rzeźbiarzem, uczniem krakowskiej Szkoły sztuk pięknych, a nagrodzonym niedawno na konkursie w Warszawie, stanowią początek artysty-

cznego ruchu, który się między inteligencyą góralską budzi. Kto wie, czy z czasem, wykształceni chłopi góralscy nie wytworzą takiej swojej odrębnej i samoistnej szkoły, jaką niegdyś wytworzyła szlachta ukraińska; szkoła ta ma wszelkie warunki powstania w niedalekiej przyszłości, a miałaby tę wyższość nad ukraińską, że nie ograniczałaby się wyłącznie do literatury.

Górale mają swoją starą rodzimą tradycyę, ale dopiero teraz poczynają się stykać z kulturą; zdolności ich zupełnie świeże, zupełnie młode, zbyt mało są doświadczone, abyśmy o nich stanowczo wyrokować mogli, wydaje mi się jednak, że są wszechstronne i duże. Jest bardzo prawdopodobnem, że wyjdą stamtąd na wskróś oryginalni pisarze, muzycy, rzeźbiarze i malarze i że stworzą sobie w sztuce miejsce tak odrębne, jak ich ziemia odrębną jest od reszty kraju.

Ci, których wymieniłem, to pierwsi pionierzy, pierwsze pokolenie inteligencyi góralskiej, która o sobie słyszeć daje; być może, że to heroldowie całego zastępu.

Co do prac Orkana, który pisze także wierszem i którego poezye rozpoczną się niedługo drukować, to trzeba pamiętać, że ma on lat dwadzieścia i że to są pierwsze kroki.

Warszawa 1897.

Kazimierz Tetmajer.

PRZYGRYWKA.

Ukochałem lud biedny nad miarę —
Bom się jego pieśnią wykołysał...
Ukochałem zwyczaje i gwarę —
Które dziecko z piersi jegom wyssał.

Co mię wiąże z ludem jeszcze szczerzej,
Powiem — choć mi wielu wiary nie da:
To niedola, która w nim się szerzy —
Oto wspólna towarzyszka — bieda...

Może ona zaćmiła mi oko,
I przesłania serc biedaczych głębię —
Że nie mogę patrzeć tam... wysoko —
I od ludzi sam gnębiony — gnębię...

Może ona zaćmiła mi słonko,
I na nerwach zwinęła promienie,
Że, gdy chodzę serc ludowych łąką,
Poza światłem wszędy widzę — cienie...

Poza światłem cienie widzę zawdy,
Łzy mię ciągną więcej, niźli blaski...
Lecz do ludu nie schodzę, jak z łaski —
Ja w nim samym szukam tylko — prawdy.

Wł. Orkan.

PRZEZNACZENIE.

— Niech będzie pochwalony!
— Na wieki wieków... E skądze ta?
— Z Hameryki.
— Prościusieńko?
— Tak jest.
— No wicie, wicie... Toście pewnie tutejsi?
— Tutejszy, z Poręby...
— E, od kogo?
— Od Kopańdy.
— Wsyscy święci!... Toście wy Morcin? Nigdybych wos nie poznała, takeście się odmienili. No wicie, wicie...
— Ja was poznoł, tylkom czekał, rychło mnie zaczepicie...
— To wy z koleje prosto?...
— Tak jest, prościusieńko... Moiściewy, co też tu słychać? Godojcie, co wiecie. Z listów nie można wymiarkować...
— Eh, moi kochani, skoda i godać!... Nie mieliście po co przyjezdzać.

— Żona?... — zapytał drżąco Marcin.

— Eh, wiecie pewnie z listów, co wom ludzie przesyłali... — odpowiedziała kobieta.

— Słyszałem, słyszałem, ale mi się nie chce wierzyć... Pieniędzy-m ij posyłał... — mówił zamyślony.

— To tyz, coście nogorzy zrobili. Było nie posyłać! Niechby sie była wymorzyła...

— Ej, co gadacie!...

— Godom prowdę. Ona wase zapracowane grajcary z tym wyrwipołciem przeflondrzyła, a i długów jesce do tego przyrosło...

— Mówcież wszystko dokumentnie, co wiecie!... — szepnął, zrzucił tłumok i oparł się o poręcz. Kobieta siadła przy nim.

— Kieście odjechali — poczęła — sło jakiś cos dość dobrze; ale potem przyjęła na słuzbę Wojtka od Chyby, tego, co to downi do nie lotoł... No i zacęły sie pijatyki, co wiecór tońce, a bezeceństwa, niech ręka bosko broni!... Te piniądze, coście przysłali, baba wasa zydowi w gardło wraziła!....

— O dlo Boga!... — przerwał Marcin.

— Słuchojcie ino dalij... Przyjechoł tu Sobek od Kozyry, ten wicie, co do Pesztu pojechoł na zorobek... Przywiόz niemało papierków... Wasa jak pocuła u niego piniądze, dalize z nim pić... Wojtek zawziął sie na niego, przysło do bitki... Sobek pokalicόł mocno Wojtka, tak ze ten i ru-

syć sie ni moze. Z tego do tego sło coraz gorzy. Wasa nie pilnowała roboty, w polu nieobrobione, syćko pustkom lezało, a dzieciska obsarpane chodziły...

— Rany Boskie! — lamentował zrozpaczony Marcin.

— Zeby to na tem koniec!... — ciągnęła dalej kobieta. — Przyśli dziandary i zabrali ze sobom Sobka...

— Za co?

— Za co? bo piniądze, które przywiózł, nie były jego, ino ukradzione... Co prawda, to nie on wzion te piniądze. Jeden z tych, co we fabryce robili, ukrodł je panu. Sobek wypatrzół, ka ten piniądze schowoł, wzion je i przyjechoł do wsi. Tamtego chycili, on po piniądze do schowku, a tu pinię̨dzy ni ma. Bili go okropnie Madziary... Sobek wiedzioł o tem, a nie oddoł. Tako wom psio noga uparto!... A tu sie juz zaceni zwiadować, ze Sobek mo piniądze wielgie, no i tak jakosi bokem wychledali... Kiedy dziandary przysły, to juz ino połowę mioł z tego, a i to oddoł wasy babie... Ho! wasa mądro! Zaroźnicki zabrała dzieciska i pojechała kolejom za Kraków.

— Wszyscy święci! i nima jej?! — wykrzyknął Marcin, chwytając się za głowę.

— A ni ma... Wicie, do cego to dosło. Kiebyście byli do Hameryki nie jeździli, jak wom

ludzie radzili, tobyście przecie wyzyli na tym gruncie. Mieliście i młyn i cosi kasi, a teroz co?... Baba uciekła z dzieciskami, na polu nima nic... Jesce wos z chałupy dłużnicy wyzyną... Tak, tak kumotrze!... — dopowiedziała kobieta. — No, musę iść, bobych sie na termin spóźniła... Momy proces z tym sąsiadem...

Marcin już nie słuchał... Nawet nie pożegnał się z „kumoską“, ale wziął tłumok na plecy i szybkim krokiem puścił się do wsi... Zdaleka zobaczył już swoją chałupę. Przystanął nagle, oczy przysłonił ręką i wpatrzył się w nią... Pusta była, nikogo przed progiem... Bez sił prawie, oparł się o poręcz, a łzy „cióreckiem“ leciały na ziemię...

— Mój Boże! — myślał — jak ja sie cieszył, kiedym jechoł bez morze, ze przecię uźrę swoich, dzieciska zdaleka zmiarkują, wylecą naprzeciw, a tu nikogo... nikogo!... — i urywane słowa przytłumiło bolesne łkanie.

— Oj Marcyś, Marcyś!... ja cie o mało na rękach nie nosił, robić nie pozwoloł, a tyś mnie tak odleciała... Oj Marcyś, Marcyś!...

Wypłakał się jak dziecko, wstał prawie siłą i poszedł dalej, zataczając się jak pijany...

Ranek był piękny... Ludzie wyłazili z chałup na pola to z sierpem, to z kosą; widzieli idącego. Parę kobiet nawet „Boga pochwoliło“, on odpowiedział machinalnie i szedł dalej. Niktby go

i tak nie poznał!... Zmienił się, wąsy zapuścił; a z tłumokiem na plecach wyglądał raczej na żebraka, niż na tutejszego gospodarza.

— A ot pijane dziadzisko włóczy się, lańdzi, by mieć na wódkę — dolatywały go słowa idących.

Serce jeszcze bardziej mu się ścisnęło... On witany, jak dziad we swojej wsi; on, młynarz dawny...

— Oj Marcyś! Marcyś!... — szeptał przez zaciśnięte bólem zęby.

Przypomniał sobie, jak on to, parę lat temu, wyjeżdżał z chaty z nadzieją, że niedługo powróci z pełną „kieśnią“ talarków... Pospłaca długi, dokupi pola i „bedzie ućciwym gazdą“. Tak okropnie „charował“, a zawsze było brak. Na przednowek musiał kupować... Więc myślał sobie, że przecię raz pozbędzie się biedy i „dzieciskom ostawi tyle, żeby się po jego śmierci nie potrzebowały gryść między sobą“...

Prosił tyle Marcysi, żeby o dzieci dbała, a pilnowała chałupy... Ona mu przysięgała, byle go ino wyprawić... Z taką nadzieją jechał w świat, z Panem Bogiem w sercu... W Hameryce charować musiał ciężko; czasem i głodem przymierał, byle ino do chałupy posłać... „Tróbował sie, jak se ta Marcysia da radę“. Kilka razy po pięćdziesiąt papierków przesłał. Prosił w liście o jakie nowiny, a tu jeno tyle, co mu ludziska do-

nosili, że Marcysia pije „z drugimi“, a pole odłogiem leży... Nie wierzył ludziom, modlił się i Marcysi ufał... „Zecnąć mu się chciało, a charował, byle ino do chałupy!“ A Marcysia „ani słówecka“ mu nie napisała. Tęsknota parła go do swoich, chciał choć „zaźreć“, by odetchnąć przy Marcysi choć z miesiąc, ze dwa... i wyjechał.

— Oj Marcyś, Marcyś!... — zakończył wirujące myśli.

Wchodzi prawie ścieżyną na swój grunt... Ścisnęło mu się serce, gdy patrzył na puste tłoki... Dookoła faluje złociste zboże, ino na jego gruncie nic... Tak goło, jak po zbiórkach.

Zaszedł pod swoją chałupę. Bezsilny prawie upadł na próg i oparł się plecami o drzwi... Z głową, zwieszoną na piersi, wyglądał jak żebrak, kiedy czeka, „rychło z pola gaździna wróci“. Myśleć nawet nie mógł; podniósł głowę po chwili i obejrzał się po „osiedlu...“ [1]). Wszędy pusto, obora otwarta, ani „patycka“ w siągach!... Pewnie sąsiedzi rozkradli.

Łzy spływały mu do serca — i tak mu było ciężko, jakby sumienie kamieniem przywalił... Siedział tak nieruchomie, a jęk ciężki, jakby „z podsienia“ wydobył mu się z piersi...

---

[1]) Osiedle — podwórze; miejsce wśród zabudowań gospodarskich.

Wtem, jak na odpowiedź tej niemej bez słów rozpaczy, zahuczało od stodoły, koło której wiodła do wsi dróżyna:

— A kto tam tak stęka?...

Jęk jeszcze boleśniejszy był całą odpowiedzią.

— E kis to dyabli tak jęcą! — rozległo się Marcinowi nad uszami... Podniósł głowę i spojrzał do góry.

Przed nim stał barczysty chłop, odziany przyzwoicie, o twarzy czerwonej... Znać, że lubił „pociągnąć“. I teraz był widać „zakropiony“, pochylał się bowiem na bok, jak smerek wiatrem kołysany, a wpatrywał w siedzącego Marcina.

— A, to wy wójcie... — szepnął młynarz.

— Zgadliście, jo tutejsy nocelnik. A wy coście za jedni? — zagadnął wójt przepitym głosem.

— To mnie nie poznajecie?...

— A nie.

— Młynarz Marcin...

Wójt wpatrzył się bliżej.

— Raty Boskie!... E skądze-ście wy sie tu teroz wzięli?

— Prosto z Hameryki...

Wójt wyciągnął rękę i uścisnęli się.

— No, prędzy-bych sie był pana starosty spodziewoł, jak wos tu uźryć!... — mówił wójt. — Kieście doszli?...

— Dziś...

Wójt wpatrywał się w Marcina, który siedział zasępiony i przygnębiony rozpacznemi myślami, co mu wszystkie zamąciły pojęcia.

— Wiecie co? — zaczął wójt — co tu mocie siedzieć? Stało sie, co nie miało stać... Wy i tak nic nie poradzicie, choćbyście tu cały rok przesiedzieli. Baby krzykiem nie sprowadzicie, ani tyz nie naprawicie skody, choćbyście korzec łez wytocyli!... Ot, lepi chodźcie do mnie, ogodomy całą tę sprawę i jakosi bedzie inacy... No, wstańciez!... — pociągnął go za rękaw.

Młynarz podniósł się powoli i ruszył machinalnie za wójtem... Ludzie się „dziwowali, z kim to pon nocelnik idą“, a „pon nocelnik“ z młynarzem szedł prosto ku chałupie, różniącej się od innych tem, że już z daleka widniał na niej napis, złożony z koszlawych liter: „Urząd gminny w Porębie“, a obok niego inny: „Wyszynk wina“.

— Bo moze nie wiecie — objaśniał wójt młynarza — ze-ch sprowadził wino, zeby ludziska w niedzielę nie próżnowali i zeby im jakosi uprzyjemnić ten mizerny zywot. Ho! bo tu bieda! Bieda krocsetno! Nima nawet o cem godać.

Skończył wójt i jeszcze do siebie mruknął parę razy: „bieda“.

Młynarz nie słuchał go prawie, myśląc o pustych zagonach i o „swoi Marcysi“.

Stanęli wreszcie przed domem „pana nocel-

nika". Wójt popchnął drzwi. W sieni uderzył ich już silny gwar, wydobywający się z zadymionej izby... Wójt z miną „nocelnika" przekroczył próg, za nim z jakimś lękiem i niepewnością wsunął się młynarz.

— Ho! pon nocelnik!... — hukło od stołu, za którym rzędem na ławie siedzieli radni.

— Wase zdrowie wójcie!... — podjął polowy [1]), przelewając wino w lampkę o objętości małej szklanki piwa. Ręka mu się trzęsła — nie ze starości pono — więc lejąc w szklankę, dwa razy tyle wylał na stół, skąd strumieniami spadało na wilgotną, glinianą podłogę.

— Nie rozlewojciez kumie daru boskiego... — wrzasnął wójt, a zwracając się do stojącego przy drzwiach młynarza, dodał:

— W wase ręce Morcinie!... Ino sie nie tróbujcie!... Jakosi bedzie.

Chłopi dopiero teraz spostrzegli przez gęsty dym z fajek, wypełniający połowę izby, stojącego pode drzwiami.

— Je ktoz to? — odezwało się paru.

— Swojego nie poznajecie?... — odpowiedział młynarz i podszedł ku siedzącym. Polowy przechylił się z za stołu i spojrzał bliżej.

— Młynorz!... Morcin!... Na moją dusyckę!...

[1]) Polowy t. j. urzędnik gminny, który sądzi drobne szkody polowe.

Podwójci, chudy człeczyna, zerwał się z ławy.

— Kumotrze! toście to wy?... Na świecie!... Ktoby wos... — huk przewróconego stołu i brzęk szkła przerwał mu mowę. — Je coz ta? — spytał, odwracając się.

— Zjedliście kopę djabłów!! — rozsierdził się wójt... — Dor boski rozlewać po ziemi! — schylił się, podnosząc stłuczone szkło.

— Na moją dusyckę!... to nie jo!... — krzyknął polowy.

— Ktoz, jak nie wy?

— A ino podwójci serdockiem zawadziół!

— E coz mie „ty“ nadweręzos?! — wrzasnął podwójci.

I byłoby do bitki przyszło, gdyby nie nowy gość, który nagle stanąwszy na środku izby, zagadnął kłócących się biblijnemi słowy.

— Bracia w Chrystusie! Przestańcie lżyć się słowami, albowiem powiedziano jest... — Tu zatrzymał się, przypominając sobie zapewne, co jest powiedziano.

— A! pon pisorz!... — przerwano mu zamyślenie i ciszę oczekiwania dalszych słów jego.

— Aleśmy się wos nacekali!... No, bo jakze bez wos radzić wedle spraw gminnych!...

Stół już stał na swojem miejscu, a na nim litrówka i szklanka, większa jeszcze niż przedtem. Niejeden z radnych, spoglądając na objętość szklanki i w myślach wypełniając ją już treścią

butelki, pomyślał: „Niema złego, coby na dobre nie wysło“. Odwrotne znaczenie tego najpospolitszego przysłowia nikomu na myśl nie przyjdzie.

Posadzono pana pisarza na ławie za stołem, wójt usiadł na stołku — i rada otwarta...

W tym zamęcie zapomniano o młynarzu, który stał na boku i gdyby nie rozpaczne myśli, jakie go nie opuszczały, zapewneby się zastanowił, czemu, gdy wójt pił do niego, nie nalał potem jemu, ale kolejka idzie dalej poza stołem.

— „A no, moze zmienili downy zwycoj!“ — pomyślałby...

Kolejka tymczasem przeszła, jedna i druga... Czas leciał szybko. Słonko padało prościutko, znacząc południe białą wskazówką promieni.

Polowy wpatrzył się w próżną butelkę i mdło mu się zrobiło na sercu... „Na moją dusyckę!“ powtarzał tylko coraz częściej, a w myślach kończył: „zeby ją tyz to mioł kto napełnić...“ Święty Kleofas, do którego miał dziwną słabość, zwłaszcza wówczas, gdy po każdej takiej „radzie“ wracał do chałupy, ulitował się wreszcie nad jego niemą prośbą, bo natchnął młynarza myślą, której zrealizowanie tyle miało dla niego ważnych następstw w przyszłości...

Widząc bowiem próżną butelkę, podszedł i szepnął wójtowi: „Proszę o dwa litry!“

Wójcina „w mig“ się nawinęła i dwa litry stały na stole...

— Ho! kumotr płaci! Musiała wom Hameryka posłuzyć! — odezwał się jeden z radnych.

— Ino wos baba wywiedła na dziadkowo...[1]) Nie trza to było wziąć na nią kija, a okrzesać, kie sie ij zachciewało wase jazdy!...

— Eh, co tam gadać!... — przerwał młynarz, a chcąc mowę odwrócić z bolesnej treści, nalał szklankę wina.

— W wase ręce, wójcie!... — wychylił, nalał... Kolejka szła szybko. Powstał jeszcze większy gwar; każdy mówił, a mało kto słuchał. Słonko chyliło się na zachód, znikając powoli niepostrzeżenie z dymnych szyb...

Młynarzem byli zajęci wszyscy.

— No, przecię on funduje, musi mieć dudki..

— Ba, cozby ni mioł! — mówili na ucho.

Jeden tylko pisarz siedział milczący. Podparł głowę nad stołem: każdą szklankę wina, gdy mu do rąk przyszła, najpierw obrócił parę razy, przejrzał się w niej, naostatku wpatrzył się w nią, jakby tam wątku jakiejś myśli lub rozwiązania ważnej kwestyi szukał, nareszcie, po namyśle, szybko przechylił i podał dalej...

Tak robił za każdą razą, systematycznie.

Wypróżnili tak kolejno flaszkę jednę i drugą. Słońce już zapadało, a o radzie ani „słychu"

---

[1]) Wywieść na dziadkowo — wyprowadzić w pole; frazes ten ma swoją historyę, o której nadmienimy później.

Gwar za to coraz większy podnosił się w dymnej izbie; zasuszone twarze radnych nabierały barw i kolorów nienaturalnych. Młynarz nawet potrafił „węgierskim ukropem“ zalać smutek duszy, bo już z wesołą miną zwrócił się do polowego, opowiadając mu jakiś ciekawy „przypodek“ z podróży „bez morze“... Polowy chichotał cienko i: „Na moją dusyckę!“ wymawiał coraz krócej.

Wtem powstał wójt. Radni się uciszyli, sądząc, że „radę“ rozpocznie: a on, nachylając się ku młynarzowi, zagadnął go chrapliwie:

— Hej, Morcinie! a kie wy mi oddocie moje dwieście papierków?... Teroz chyba musicie mieć!... co?...

Młynarz się zachmurzył. Pytanie to nagłe zwróciło go do pierwotnych myśli.

— Przywiózech ino pięćdziesiąt reńskich. Musicie wójcie zacekać, jaze sprowadzę Marcysię...

— Ho! ho! ani se myślij o tem! Ona ci wróci?... Myślis, ze mie zarwies!... Tybyś cichutko grunt sprzedoł, uciek za babom i sukoj wiatru po świecie!... Jo musę mieć piniądze i basta.

— Coz, kie nimom.

— To sie postarojcie!...

— A jakoz?

Wójt nie odpowiedział. Siadł i podparł głowę. Wtem, jakby mu nowa myśl wpadła, podniósł się, wychylił nalaną szklankę.

— Wiecie co kumie?... sprzedejcie grunt.

Marcin się wzdrygnął.

— Nigdy!...

— No, jakoś to bedzie. Juz my sie nie obedrzemy.

Nalał mu wina, przypił do niego. Kazał podać nowy litr. Kolejka przeszła. Wójt młynarzowi przylewał. a patrzył się z pod oka. Radni pozierali po sobie.

— Wójt cosi rozwozo!... — szeptali do siebie.

— No — podjął „nocelnik" — sprzedocie?

— Grunt?

— Ehę!

— A ktozby kupił?...

Wójtowi się oczy zaświeciły. Czuł w rękach złapanego ptaszka. Młynarz zaś prawie pijany patrzył bezmyślnie na niego. Parę razy starał się gwałtem myśli zebrać; brwi ściągał, oczy wybałuszał, ale wypite wino mgłą mu je przesłaniało tak, że nie mógł dojrzeć chytrego uśmiechu „nocelnika".

— Jo kupię... — ciągnął wójt.

— Wiela docie?...

Wójt wyminął odpowiedź.

— No, dyć my sie zgodzimy. Wiecie, ze pola nieobsiewane, lezą odłogiem... Puste tłoki i nic więcy...

— Zawse jest tego niemało!... — bronił Marcin.

— To nie wiecie, ze wasa pół przedała?... — zagadnął wójt z lisim uśmiechem.

— Ni moze być! — skoczył młynarz.

— No, nie prowda?... — zwrócił się wójt do podwójciego.

— Na świecie!... prowda!... — odwrzasnął tenże.

— Na moją dusyckę!... — potwierdził polowy.

Marcin opadł ciężko na ławę... Wychylił pełną szklankę. Był już całkiem pijany.

— Sprzedocie reśtę?... — podjął na nowo wójt. — Dom wom trzysta śrybłem...

Marcin potrząsnął głową.

— No, niech stracę!... Wiecie, Morcinie ze wos lubię... Zreśtom chałupę zostawię do wase wóle... Nie ukrzywdzę wos. Kiedy tedy mozecie wrócić, to wos przyjmę... Daję trzysta pięćdziesiąt... Nie chcecie?... No, mocie trzysta siedmdziesiąt na miejscu i litkup!... Chałupa wasa. Coz więcy chcecie?... Dwieście się potrąci za dług, dwadzieścia za precent; wypłacę wom na miejscu stówkę i pięćdziesiąt papierków! Kumotrowie poświadcą...

— Iżali powiedziałbym... — począł pisarz, podnosząc poważnie głowę.

— Na świecie!... — przerwał podwójci.

— Na moją dusyckę!... — dokończył polowy.

Wójt wstał, podszedł do młynarza.

— Kumotrze! Nie bądźciez twardzi!... jak wom zycę...

Uściskał go, ucałował.

Młynarz rozbrojony serdecznością, zgodził się, tembardziej, że naprónoby gonił za myślami, by oponować.

— Odrazu sie kontrak spise. Pisorz na miejscu... — rzekł wójt; zupełnie wytrzeźwiał z radości.

Marcin kiwnął głową.

Pisarz już wyciągnął arkusz ze stolika, rozłożył na stole i począł z powagą gładzić paznokciem pióro... Wójt kazał lampę zaświecić; na stole postawił nową butelkę. Szła kolejka już coś dziesiąta.

— Na litkup!... — krzyknął wójt.

— Na litkup! — powtórzył za nim młynarz.

— No, piście kontrak... — rzekł wójt, przybliżył lampę.

Pisarz rozpoczął pisanie.

Wszyscy siedzieli milcząco, by nie przerywać myśli panu pisarzowi... Gdy skończył, odchrząknął parę razy, przejrzał pismo i dodał parę opuszczonych ogonków.

— Żali mam przeczytać?... — zapytał.

— A juści! — odezwali się chórem radni.

— Cytojcie! — kazał wójt.

Pisarz wziął stojącą przed nim szklankę, przechylił, wreszcie zaczął:

„Kontrakt czyli pisemna ugoda co do sprzedaży i kupna gruntu czyli parceli, zawarta na miejscu pomiędzy Marcinem Janią czyli“...

— Zjedliście kopę dyabłów!... — krzyknął wójt. — Przecie sie młynorz pise Morcin Cichorcyk, a nie Jania!...

— Powiedziano jest, że Jania...

— To przezwisko!... nieprowda?... — zwrócił się do młynarza.

Ten jednak pochylony chrapał głośno; głowa mu się chwiała, jak przyprawiona.

— Na moją dusyckę!... — potwierdził za niego polowy.

— Żali mam poprawić?... — spytał pisarz.

— Żodne poprawianio!... — Krzyknął „nocelnik“. — Urzędowy dokument nie śmie być zasmarowany!... Przepisać trza i basta. Hej! Morcinie! — zwrócił się do młynarza — nie śpijciez, bo tu idzie o wasą rzec!...

— O jaką rzec? co... — bełkotał nieprzytomnie zbudzony młynarz.

— No, co do tego kupna!...

— Ehę!... wiem... co do kupna...

— Móm wom dać sto pięćdziesiąt papierków!...

— Ehę!... sto pięćdziesiąt...

— Kontrak spisany.

— Dobrze... dobrze...

Wójt otworzył skórzany, pomarszczony pugi-

lares i począł liczyć dziesiątkami: „Dziesięć.. Dwadzieścia“....

— Nadstowciez rękę!...

Młynarz wyciągnął rękę!...

— Trzydzieści... śtyrdzieści... Biorę wos tu obecnych za świadków... Słysycie?!... — krzyknął głośniej, budząc paru chrapiących radnych.

— Słysymy!...

— Rozumiecie na co?...

— Rozumiemy... wedle kupna!...

— Na świecie!... — dodał podwójci.

— Na moją dusyckę!... — dokończył polowy.

Wójt odliczył sto pięćdziesiąt.

— Schowojciez!...

Młynarz włożył zwitek do zanadrza i śpiący, przechylił się na krawędź łóżka.

Pisarz tymczasem przepisał kontrakt, przeczytał uroczyście.

— Podpisciez mnie i świadków — odezwał się wójt.

Pisarz wystylizował podpisy. Paru radnych położyło koszlawe krzyżyki przed swojem nazwiskiem.

— A kaz tu młynorz?... Edyć brakuje jego podpisu! — zauważył jeden z radnych.

— Na moją dusyckę, brakuje!... — dodał, przypatrując się, podwójci.

— Morcinie!... Śpi, jak Poniezus po wiecerzy... Morcinie!... — ciągnął go podwójci za rękaw.

Młynarz się podniósł.

— Połóżciez krzyzyk!

— Gdzie?

— Tu...

Dali mu pióro. Zrobił dwie kreski. Pióro mu wypadło z ręki. Oparł się o stół i począł na nowo chrapać.

— Dyabli by sie ta z nim dogodali!... Wójcie, dejcieno jesce flaseckę!...

Wójt podał litrówkę. Zbudzono śpiących do nowej kolejki.

Wójt tymczasem złożył kontrakt do szafki, zamknął na kluczyk i usiadł przy stole. Zerknął jeszcze parę razy na śpiącego młynarza, uśmiechnął się i dwie lampki, jedna po drugiej, wychylił.

— Kupiłech dobrze? co? — zagadnął radnych.

— He, pon nocylnik mo głowę! aniby som adukat lepi nie zrobiół! — domawiali pijani.

— Za zdrowie nocylnika!... — podniósł podwójci.

— Za zdrowie!...

Kolejka szła „pieronem“.

— Coś pon pisorz nie weseli!... — zauważył jeden z radnych.

— Na moją dusyckę! coś mo we wnętrznościach... — dorzucił polowy.

Pisarz właśnie przezierał się w szklance, wychylił więc żywiej i podniósł się z ławy.

— Różne są — począł mówić — przypadłości... Człek nie wie, na co zejdzie... Sposobności albowiem ma wszelakie. Iżalibym powiedział, szanowni bracia, o którym z was, że nie jest wedle sumienia, jako ten, który ma czynić, co powiedziano jest w piśmie: „Człowiek pokusom podan jest w utrapienie. Kto będzie owoc złego pożywał, niechaj będzie przeklęty, a kto będzie pożywał owoc dobrego, niechaj mu będzie chwała! Amen". — Żali wy rozumiecie, co jest powiedziano? Oto zły owoc powstaje w niezgodzie, a dobry owoc w zgodzie... A gdzież, szanowni bracia, może być zgoda, jak nie przy esencyi dobrego owocu, o którym powiedziano jest w psalmie świętego Dawida: „Z winnicy mojej pić będziesz!"...

Tu przerwał i spojrzał po radnych, albowiem mówiąc, oczy miał w sufit wzniesione. I ze ździwieniem ujrzał śpiące, a oczy i uszy ich były zamknięte... Przejrzał wszystkie szklanki, butelki, pozlewał resztę wina, wysączył do dna tę „esencyę dobrego owocu" i pomyślał chwilę, co ma uczynić; zrobił, co mu rozum podyktował. Pościągał z ławy i ze „zyrdki" [1]) wszystkie „płosce" i serdaki, wyścielił na skrzyni i sam się na nich wygodnie ułożył...

---

[1]) „Zyrdka" — cienka żerdź pod sufitem, służąca za wieszadło.

— Żali mam powiedzieć... — zasnął.

Ciemne światło „okopconej“ lampy łączyło się z półcieniami i przedzierając się przez dym, wypełniający izbę, oświetlało matowo czerwone od pijaństwa twarze radnych. Leżało to wszystko jak bydło („nieprzymierzając“). Jeden wsparty łokciami na stole, drugi na krawędzi, trzeci walcząc długo z wązkością ławy, dał za wygraną i ułożył się wygodnie na ziemi, obok skrzyni... Ładny temat do bajki: „śpiący samorząd gminny“.

Czasem tylko z tej chrapliwej muzyki dysharmonijnej wyleciało wyraźniejsze słowo, z myśli, które w drgających jeszcze nerwach sen przejął... I tak się też one objawiały przez sen, jak brzmienia strun najbardziej naciągniętych, kiedy się o instrument trąci... Nie dziw, że parę razy „Marcyś!“ z chrapaniem wydarło się młynarzowi: „kontrak!“ krzyknął wójt we śnie.

— „Na moją dusyckę!“... — kończył polowy przez sen, zapewne siłą przyzwyczajenia...

* * *

Ranek był we wsi... Słonko świeżym uśmiechem „obzierało“ się po szczytach gór i powoli, niedostrzeżenie skradało się promieniami do jarów i dolin, chcąc w najskrytszych zakątkach jestestwom przynieść światłem przebłysk tego szczęścia, którego pragną, za którem tęsknią,

a nigdy całego posiąść nie mogą... Dziwna tęsknota za tem, czego niema... Jestestwa naszej ziemi dążą do życia jestestw innych światów, a tamte naodwrót ku nam zwracają tęskne oczy... Słonko zaś jest jakby pośrednikiem tych ziem, lawirujących nawzajem ku sobie... Do słońca ciągną wszystkie istności... Nie dziw, że nie mają całego szczęścia, gdyż ono musi dzielić światłem wszystkich... Gdyby na jedną tylko ziemię spadło całe światło-szczęście, ustałby byt... Jednych spaliłyby promienie, drugich zamroziła noc.

Więc... ranek był we wsi. Ludzie wyłazili z chałup, „obzierali się“ twarzą do słonka, dziękując mu za jasność, która im nadzieją uwieńczenia prac, ładnych zbiorów... Kwiaty, drzewa jednakim jak codzień, rozkwitem witają słonko...

Jeden tylko człowiek nie obziera się na nie — na jasność. Wlecze się drogą ku zachodowi, twarz odwraca od słonka...

Napróżno ono promieniami szczypie go po szyi, przeszywa czerwonością uszy, chcąc w duszę zajrzeć, rozegnać ciemność... Napróżno!...

On, jakby wstydził, się słonka, samego siebie, gniewem, czy bólem, przyciął wargi, a brwi schodzą się i rozchodzą od walczących ze sobą myśli...

Przystanął chwilkę, odwrócił głowę ku wsi, ku swojej chacie...

— Tam... nima nic!... — wyszeptał. — Ja, bydlę, upił się, sprzedał swoją ojcowiznę!... Cha-

łupa sama... co mi po tem!... Grunt wściekli wzięli... Dziad wierutny!... O Najświętsa Panienko, ratuj!...

I z ostatnią pobożną myślą, ostatnia łza spłynęła z powieki...

Patrzał długo ku chałupie, jakby chciał każde drzewo, płot, każdy drobiazg zabrać ze sobą w pamięci...

— Ano, stało sie, co sie miało stać... Tak mi przeznaczono, dziadem umrzeć!... — wstyd, gniew i boleść ścisnęły go za gardło.

— Psie życie!... Oj, Marcyś! Marcyś!... — Okropny wyrzut, cały żal mieścił się w tych dwu słowach.

Zwrócił się szybko i poszedł dalej drogą... na kolej.

. . . .

. . . .

„Krakau! — Kraków!“...

Wysypali się podróżni z wagonów... Każdy pchał się do drzwi, by oddać bilet i jak najprędzej powitać się ze znajomymi... Z tyłu szedł powoli i młynarz. Wyszedł i on za wszystkimi, oddał bilet, przeszedł, nie oglądając się, poczekalnię; wiedział, że go nikt nie czeka.

Zwrócił się prosto na most, ku warszawskiej rogatce... Bezmyślnie kroczył środkiem gościńca, machinalnie usuwając się jadącym dorożkom i szedł prosto ku Prądnikowi...

Wyjeżdżał za Marcysią, nie wiedząc, gdzie jej szukać; w wagonie dopiero, gdy przyszedł do jakiej takiej równowagi, wyfilozofował sobie, o ile mógł, że Marcysia musi chyba znajdować się na Prądniku, u ciotki... Wiedział, że tam jej ciotka ma domek; nawet, parę lat temu, zaglądnął do niej, kiedy był ze żoną w Krakowie na odpuście...

Szedł więc ku Prądnikowi, wiedząc, że tam Marcysię zastanie...

Obok szeregu białych domków na Prądniku, stał jeden, frontem do gościńca zwrócony. Różnił się chyba tem od innych, że był na czerwono pomalowany, które to malowidło gdzieniegdzie deszcz spłukał, dostając się do brunatnej barwy muru... Przed progiem kupa śmieci i dwie czarne kałuże świadczyły o dobrej woli gospodarza, czy też gospodyni.

Do tego to domku skierował kroki młynarz. Wszedł do sieni i stanął przy odchylonych drzwiach, zerkając przez szczelinę do wnętrza...

Sekundę rozjaśnił i zaraz schmurzył twarz; przy stole dojrzał Marcysię... Poznał ją odrazu, choć siedziała podparta na łokciu i plecami zwrócona do niego. Obok niej dostrzegł kawałek „wąsiatej“ twarzy i rękę brudną, która przychylała kieliszek do jej ust...

— Pijże, kie ci daję!... Jakbyś mi ty dała,

tobym sie nie opierol!... — Młynarz słyszał wyraźnie chrapliwy głos przez podchylone drzwi.

Drgnął na te słowa, i szybko odsunąwszy drzwi, stanął na progu.

— Niech będzie pochwalony!... — wybełkotał.

Nie odpowiedziano mu. Widać, tu inny zwyczaj. Natomiast wszystkie twarze zwróciły się ciekawie ku niemu. Stara kobieta, która dotąd była schylona nad rozłożonemi kartami, podniosła głowę, ściągnęła pomarszczoną twarz i, sądząc po łatanem odzieniu, że jakiś żebrak, już miała wyrzec: „z Panem Bogiem", kiedy Marcysia poskoczyła ku niemu z krzykiem:

— Morcin!!... e kiście tu dyabli przynieśli!...

Młynarza oblała krew, chciał coś wyrzec; słowa nie mógł wykrztusić z bólu i oburzenia...

— Tato! tato!... — rozległo się z kąta i dwoje odartych, nieumytych dzieci rzuciło się ku niemu.

Młynarz spojrzał na nie, nogi mu zadygotały, upadł ciężko na najbliżej stojący kufer.

Dzieci, jedno z jednej, drugie z drugiej strony, pchały się ku niemu; pogłaskał je ciężką dłonią, pocałował, a potem zwrócił oczy na żonę z takim strasznym wyrzutem, że ta, mimo urągającej postawy, odwróciła twarz, nie mogąc znieść tej bezsłownej skargi...

Stara kobieta i wąsiaty drab ciekawie patrzeli na całą tę scenę.

— Kasper! przynieś kwaterkę!... — rzekła stara, zwracając oczy z młynarza na próżną flaszeczkę... Poznała zaraz, że to mąż siostrzenicy. Drab wziął flaszeczkę, mruknął coś do siebie i wyszedł z izby.

— Dawnoś przyjechał?... — poczęła stara.

— Ani sie mnie nie pytojcie!... — przerwał Marcin, w którym ból i oburzenie mieniły się prawie we wściekłość.

— Toś tak pilnowała chałupy?! — zawołał do żony. — Takeś dozierała?... To jo na to charowoł tela lot!!... Piniędzym ci przysyłoł... coś z nimi robiła?... co?!... — mówił drżąco od gniewu, podchodząc ku żonie.

Marcysia podniosła na niego oczy zaiskrzone, wpatrzyła się uparcie...

Młynarz, który już w zapamiętaniu podniósł rękę, opuścił ją napowrót, patrzył na żonę... Wściekłość ustępowała szybko, jak płomień, pożerający papier... Nic nie widział, nie czuł, tylko te oczy, dla których ją wziął, dla których chciał być bogatym... te oczy wprawiały go w odurzenie...

— Oj, Marcyś!... — jęknął ciężko, opadając na stołek. Pochylił głowę, jakby on zawinił wobec niej...

Marcysia uśmiechnęła się — czuła, że ma nad nim przewagę.

— Oj, Marcyś!... — począł już bez gniewu —

żebyś ty wiedziała, jak mi sie serce ścisło, kiedych do wsi przysed i nikogo nie zastoł w chałupie... Tako mnie boleść wzięła za serce, ze powiedzieć niepodobno!... Ludzie mi tela naopowiadali...

— Ludziom nie wierz — poczęła łagodnie Marcysia. — Ogodali mnie za nic... Nie dali mi spokoju. Musiałach uciekać od nich... Pisałach po ciebie...

— Jo żodnego listu nie dostoł!...

— Bo pewnie źli ludzie przejmowali. Teroz co insego, z tobom pojadę... Przywióześ pinięndzy? — spytała, przymilając się.

— Com przywióz, to przesło...

— Więc z cemześ przyjechoł?!... — krzyknęła.

— Listy mnie złe dochodziły...

— Móges nie słuchać!...

— Trudno było...

— Boś głupi!... — W oczach Marcysi iskry się zapaliły.

Stara słuchała z jednakową, pomarszczoną twarzą. Dzieci wystraszone, skulone, pozierały to na ojca, to na matkę.

— Grunt sprzedany — cicho odezwał się młynarz, spuszczając wzrok.

— Za wiele? — spytała żywo Marcysia.

— Za trzysta siedemdziesiąt.

— Mos ze sobą?

— Wójtowi oddałem dwieście z procentem.

— Głupi!... — szepnęła żona — a resztę?

— Mom.

— Dawoj!... — popatrzała mu w oczy śmiało.

Młynarz zawahał się chwilkę.

— Bois sie?... — spytała.

— Nie... ino, Marcysiu!... — począł błagalnie, wyjmując z zanadrza pieniądze — oporządź dzieciska, niech przecie tak nie chodzą! — wskazał na podarte, brudne sukienki.

— To juz moja rzec!... — rzekła sucho żona.

— Jo bedę zarobioł — ciągnął młynarz — daruj! nie poniewieroj... — pocałowoł ją w czoło.

— Pojedzies napowrót?... — spytała szybko, odbierając pieniądze.

— Do Hameryki? Nigdy!... Dość juz mom tego. Bedę tu robił „przy murarzach“. Znom sie na budowie...

— Rób... — odpowiedziała sucho. — Jo sie dość nacharowała!... Tyś sie wypróżnował w Hameryce... Teroz na ciebie kolej!...

Młynarz nie odpowiedział na niesłuszny zarzut. Patrzył się jeno w oczy Marcysi, jak dawniej... Poweselał, przywołał dzieci, gwarzył z niemi...

— No, wszystko dobrze... — odezwała się stara. — Ty, Marcinie, nie wierz ludziom, ba żonie! U mnie mocie mieszkanie. Jak zarobisz, to i o mnie nie zapomnisz...

— Dziękuję, ciotko... — Młynarz pocałował ją w kościstą rękę.

Marcysia przeszła do komórki.

— Kaspra nie widać — rzekła głośno ciotka.— Skoczno, Michaś, po wódkę! — Dała chłopcu centy, flaszkę. — Przynieś taką, jaką ci codzień daje... Ino pełno przynieś! — upominała.

— Dobze ciotko — „wyseplenił“ chłopczyk i poskoczył żywo.

Młynarz pomyślał: „Źle dziecko przyzwycajać!“ ale się nie odezwał głośno.

W chwilę, gdy chłopczyk przybiegł z wódką, harmonia zapanowała w kółku, jakby nigdy nic... Marcysia śmiała się „po swojemu“, młynarz opowiadał o „Hameryce“, ciotka kabałę ciągła na przyszłość i mimo złej wróżby, którą monotonnym, nosowym głosem wygłaszała, żadne na to nie zwracało uwagi... Podchmieleni, weseli, zjedli wieczerzę i poszli spać...

Nazajutrz, świtaniem młynarz poszedł do miasta „po robotę“.

— Przecię — myślał po drodze — znajdę zajęcie, ogarnę dzieci, siebie, moze sie jako bieda popchnie!... Bedzie gorzy, to bedzie; byle ino przy Marcysi!... Jakosi człekowi raźni — i robić sie chce i człek se pracy nie ciązo... Oj, Marcyś Marcyś!... Duzoś mie ty kostowała!... Ha, no — moze Pan Bóg dać...

Przeszedł rogatkę, wszedł w miasto — roz-

glądał się, rozpytywał... Radzono mu do rozmaitych majstrów. Chodził wszędy — ale „jakosi“ nigdzie nie mógł znaleść na razie roboty. Obiecywali mu, ale z początkiem następnego miesiąca, albo za dwa i t. p.

Zchodził tak pół dnia prawie... Nigdzie nic — trzeba zacekać... Moze jutro, pojutrze. — Przecię Bóg do...

Z południa już wyszedł z miasta. „Ha, no — trudno!“ — myślał, idąc z powrotem na Prądnik. „Przecię nie ostatni dzień. Coby tyz cłek lo siebie roboty nie znalazł! przecię nie kraść — ino robić, to sie musi znaleść...“

Pocieszając się tak — stanął przed domem. Na progu dzieci płakały głośno... Zobaczywszy ojca, poskoczyły żywo.

— Tato! tato!... mama posła...

— Gdzie?... — spytał ojciec.

— Nie wiemy... posła rano...

— Wróci... wróci... nie płaczcie! — pocieszał je ojciec. — Jeść wam sie chce?...

— Chce...

Młynarz wziął dziewczynkę na ręce — wszedł do izby. W izbie nie było nikogo... Ułamał bułki, dał dzieciom. Dzieci jadły łakomie, patrząc z zaufaniem na ojca; łzy im jeszcze świeciły na wychudłych twarzyczkach... Niebawem weszła stara.

— No cóż? Masz robotę?.. — zawołała ode drzwi.

Nienaturalne ruchy i rumieniec na pomarszczonej twarzy kazały się domyślać, że wraca prosto z karczmy.

— Ni mom jesce... — odpowiedział młynarz i dodał zaraz:

— A gdzie Marcysia posła?...

— Kto?...

— Marcysia...

— Ho! ho! Marcysia!... Dobro mi Marcysia!... Jakiś ty głupi Morcin!... He! he!... — poczęła mu się w twarz śmiać.

— Nie rozumiem, co chcecie...

— Co chcę? Nic nie chcę. Ino ci padom, żeś głupi!... Dołeś jej wczoraj pieniądze — i ty myślisz, że ci tu bedzie siedzieć?! — ciągnęła krzykliwie, wymachując rękami pod nosem młynarza — spakowała manatki i — dalej za Sobkem!...

— Za jakim?... Nic nie wiem...

— To sie dowiesz!... Za tym, co w krymінole siedział. Nie gadali ci we wsi?... Kazała pedzieć, że cie widzieć na oczy nie chce!...

— A dzieci!... — krzyknął rozpaczliwie młynarz.

— Kazała ci pedzieć, że kie mosz dzieci, to se je żyw!... Oj Marcysia!... Widzisz, jako twoja Marcysia!... — krzyczała, przedrzeźniając, stara.

W myślach Marcina nagle rozjaśniło się wszystko. Opowiadania kobiety, gdy wchodził do wsi, dogadywania ludzi o Wojtku, o Sobku, o rozpuście, pijatykach — to wszystko zobaczył, jak na dłoni, oczy otworzył szeroko... I nagle te obrazy poczęły ciemnieć — wszystko zaczęło wirować, tańczyć, cała izba kręciła się w oczach — czuł wrażenie, jakby leciał gdzieś z izbą i ze wszystkiem w okropną przepaść...

— Raty Boskie!... — krzyknął tylko, oczy przymknął i pozostał bez ruchu, bez myśli, jak drewno...

Nie słyszał krzyku dzieci, wystraszonych zachowaniem się ojca, gadania ciotki - nic nie czuł... stara zauważyła jego dziwny stan. Sądząc, że zemdlał, poczęła lać wodę na niego...

Otrząsnął się — zimno przeszło po nerwach... Ożyły... Popatrzał na starą — wzdrygnął się przypomnieniem — i znów popadł w odrętwienie...

Uszło tak parę godzin.

Dzieci zachowywały się cicho, myśląc, że ojciec spi... Stara pomruczała do siebie — chciała coś gadać do młynarza, wreszcie machnąwszy ręką, wyszła do komórki.

Nareszcie po długim czasie młynarz przetarł oczy, wstał, wstrząsł się, jakby się chciał opędzać dręczącym myślom... Popatrzał na dzieci.

— Gdzie ciotka?... — spytał.

— W komorze... — ozwały się cicho.

Wszedł do komórki; niedługo zabawił — wracając, cicho przymknął drzwi za sobą, ucałował dzieci — jedno i drugie — i prędko wyszedł... W twarzy jego można było czytać jakieś silne postanowienie, dyktowane rozpaczą... Dzieci popatrzały na siebie, na drzwi — i naraz wybuchły szczerym, bolesnym płaczem.

— Gdzie posed tato? — spytała w płaczu dziewczynka.

— Nie wiem... — odpowiedział chłopczyk i obydwoje załkali jeszcze głośniej.

Zbudzona ich krzykiem — stara wyszła z komory.

— Czego krzyczycie knoty?...

W odpowiedzi jeszcze głośniej się rozpłakały. Stara podeszła do stołu — wysypała na stół talarki...

— Gdzież ojciec?...

— Posed... — odpowiedział chłopczyk, zanosząc się od płaczu.

— Gdzie?

— Nie wiem...

— Hm, — mruczała stara do siebie — zostawił na stole pieniądze... Juści pewnie dlo mnie...

Poczęła liczyć, układając w kupki.

— Całe czterdzieści... Kto go ta wie! Może dlo dziecisk... Nie krzyczcie!... — rzekła do dzieci. — Ojciec wróci z mamą... Słyszycie knoty?... Żodnego wrzasku mi tu nie robić!...

Dzieci umilkły, starając się zdławić łkanie.

— Jeść... ciociu... — wyszeplenił chłopczyk.

— Przyniesę wom bułek!... Michaś!... ino pamiętaj o Stefci! a cicho się zachowujcie!... Wnet wom przyniesę — wnet...

Zgarnęła pieniądze, zawinęła w brudny strzępek i włożyła do zanadrza... Wychodząc, przymkła drzwi na „skóbel“ — i poszła prosto... do karczmy.

Dzieci czekały cierpliwie, patrząc uporczywie przez okno, rychło ciocia wróci... Minęła jedna godzina, druga, nikt nie przychodzi... Dziewczynka znowu poczęła szlochać, za nią chłopczyk — wreszcie wypłakawszy się serdecznie... zasnęły.

Ciemno i cicho było w izbie... Od czasu do czasu tylko wiatr jękiem trącił o szyby. Wiatr jęczał nad uśpionemi sierotami . . . . . .

. . . .

. . . .

Ranek był we wsi... Słonko, jak zwykle swobodne bez osłony chmur, patrzało promieniami poza najodleglejsze widnokręgi... Tu złamie promień o wodę, tam — jak strzałą, przeszyje ciemnię drzew, budząc śpiące ptaszęta; ówdzie chyłkiem zaglądnie do okien, rzuci garścią światła zgromadzonej czeladzi, która kołem przy jednej misie obsiadła, a zwija się chyżo,

bo czasu szkoda: pogoda stała, a owies, a jęczmień w polu...

Nie w każdej chałupie gwarno koło misy, nie w każdej ruch i życie panuje. „W chałupie komornika?...“ powiadasz... He, przecię i komornikom nie najgorzej, gdy na polu ładnie!... A od czego przysłowie: „tak bedzie, jak padnie?“ Nie zbierają sobie — to drugim, a roboty jest dość u ludzi latem... Gorsza zima. Toć i komornik ma co dziś w gębę włożyć. Ale „jest casem przeznacenie“ — powiadają ludzie — „ze jak jedno w chałupie sie styra [1]), to sycko idzie na marne!...“

Takie „przeznacenie“ musiało chyba dotknąć i zagrodę młynarza... W samym środku wsi ugory, pastwiska — a to dawniej „jego ładno rola...“ chałupę zaś ludzie z daleka obchodzą, żegnając się ukradkiem. Wiecznie zamknięta, ani „zywe duse“ w niej... Powiadają, że w takich chałupach, „ka przedtem była bosko obraza, radzi „źli“ mieszkają...“ — Ha! może.

Więc rankiem, słonko, kiedy „wyźrało“ z za lasu, biegnąc od strzechy do strzechy, padło promieniami i na pustą chałupę... Słonko ciekawe, radeby wszędy wiedzieć, czy noc nie przyniosła nowego mieszkańca...

I po dachu ślizgało się promieniami, prze-

---

[1]) Styrać się — zmarnić się.

szywając światłem cienkie gonty; a gdzie szerszą szczelinę otworzyły wichry, wyrywając pobicie — tam rzucało całym snopem światła... Okiennica na strych otwarta; promienie padły do izby i nagle drgnęły, zwinęły się napowrót, rozpraszając się po konarach nad dachem...

Lecz słonko idzie wyżej; wnet wszystkie promienie na świat rzuci... — W całem świetle potworniejszem wydaje się złe — toż promienie, chcąc słońcu złagodzić okropność obrazu, jaki dojrzały — spoiły się napowrót, skoczyły okiennicą do izby i oblały całem swem światłem wiszącego trupa...

* * *

Wieczorem u wójta zgromadziła się cała „rada“. Miano ważną sprawę „do uradzenia“ — toż nie brakowało nikogo... Pisarz tylko, jak zwykle, spóźnił się, wiedząc zapewne, że bez tak ważnej, jak on, osobistości rady nie rozpoczną.

Mylił się jednak po części, gdy sądził, że będą na niego czekać. Już bowiem, cztery butelki wypróżnili, zanim się ukazał... Ósma kolejka szła w koło, kiedy pijący, zamiast do sąsiada — przypił do stojącego poważnie na progu pana pisarza.

— Żali powiedziałbym, żebym się nie spó-

żnił, gdyby nie okoliczność nadzwyczajna... — mówił poważnie pisarz.

— W ręce wase!... — przerwał mu radny.

— Na zdrowie!...

Pisarz wziął szklankę i już czwarty raz obrócił ją w ręku, przezierając się w niej — gdy nagle wicher złamanym konarem jabłoni trzasnął w szybę...

Szkło rozprysło się na drobne kawałki, a wiatr, skoczywszy otworem, zdmuchnął ciemne światło lampy... „Wzdrygli“ się radni, każdy przerażonym wzrokiem poglądał w okno... Chwilę cisza w izbie zapanowała, tylko na dworze huczało — coraz to głośniej.

Wójcina wpadła do izby, zatkała poduszką wybitą szybę i zaświeciła lampę.

Przerażenie ustępowało zwolna z twarzy radnych, nowa kolejka rozweseliła zalękłych...

Wtedy do izby wsunął się milczkiem „chuderlawy“ człeczyna...

— Ho! Jędrek od Kopańdy!... — rozległo się od stołu. — Jędrzeju! w wase ręce!... Co ta słychać u wos?...

— He, nic tak ciekawego... — mówił spokojnie człeczyna — młynorz sie obiesiół...

— Kto?!... — spytali wszyscy naraz.

— Młynorz...

— Morcin?!

— Ehę!

Umilkli wszyscy... Przerażenie, większe, niż przedtem, odbiło się na twarzach. Nawet wójt, zawsze czerwony — pobielał w jednej chwili... A na polu huczało, jak w stu fabrykach.

— Nie nadarmo tak jęcy, nie nadarmo... — odezwał się po chwili jeden z radnych.

— Obiesiół sie, obiesiół padocie... — mówił wójt. — Ha, no! nic mu juz nie pomoze... Wiecne odpo... — nagle przerwał, wzdrygnąwszy się słów, które chciał wyrzec z przyzwyczajenia... Wicher zawył przeraźliwie.

— Nie nadarmo jęcy, nie nadarmo... — powtarzali radni...

— Widać takie mioł przeznacenie... — począł wójt.

— Żali powiedziałbym... — przerwał poważnie pisarz.

— Na świecie!... — wtrącił podwójci.

— Na moją dusyckę!... — dokończył polowy cienkim głosem i przysunął się ku stołowi. Za chwilę kolejki szły raźno; w izbie znowu gwarno, jak przedtem, a na polu wiatr jęczy żałośnie i bije w pozostałe szyby zimnem swem skrzydłem...

BEZDOMNI.

— Mamo! daleko jesce?...

— Z pół mili... Zaroz będą chałupy za tym lasem. Zimno ci Jasiu?...

— Nie, matusiu, nie...

Taką urywaną rozmowę wiodło dwoje ludzi — matka i syn. Matka szła naprzód, torując drogę synkowi w zaspach śniegowych... Ile razy głębiej zapadła — zwracała się do dziecka, mówiąc:

— Jasiu! ostrożnie... Obejdź bokem...

— Dobzę, mamusiu, dobze... — szeptał zmarzniętemi wargami chłopiec, usta zacinał i nie skarżył się biedny, choć mróz do serca zaglądał... I teraz, gdy matka pyta go:

— Zimno ci Jasiu?... — On odpowiada: — Nie, mamusiu, nie... — a odpowiedź ta drżąca, jak głos potrąconej struny, potwierdza pytanie, choć słowa kłamią rzeczywistości.

Dwoje ludzi w walce z zaspami śniegu... Dwie nikłe istoty, uczuciem gorące, w zapasach z bezgraniczną, zimną, martwą naturą...

Kto zwycięży — człowiek, czy bezduchowy ogrom?...

— Mamo, daleko jesce?... — pyta Janek.

— Zaroz, zaroz, ino pódź Jasiu, nie ustaj!... — błaga matka. — Za mną, za mną... — i kolalanami kraje zstężały śnieg, ostatnich już prawie dobywając sił... Czuje, że słabnie, ale i to czuje, że musi iść... Inaczej zimna śmierć otuli ją i Janka.

— Zeby sie ino śnieg nie porusoł!... zeby ino wiatru nie było!... — mówi do siebie szeptem niezrozumiałym... A tu, jak na odpowiedź wicher powiał od lasu i ostrym śniegiem w twarz jej rzucił.

— Boze!... — szepnęła tylko i dalej stawia omarzłe nogi, martwe, szkieletowe... A za nią wolą raczej niepojętą, niż siłą prowadzone, stąpa w ślady skostniałe dziecko, otulone paruchą[1]), którą matka zdjęła ze siebie...

Chwilę ciszy — i wicher zerwał się jeszcze gwałtowniej niż przedtem, sprzągł wszystkie tumany i ostrą śnieżycą ku obłokom podrzucał...

— Mamo...

— Co? moje dziecko...

— Mamo... — szepleni pacholę niewyraźnie i, skulone, opiera się o twardy śnieg.

---

[1]) Parucha = lniana, gruba płachta, w przeciwstawieniu do cienkiej „łoktuski".

— Jasiu! jak ino mozes... juz niedaleko!... — błaga matka, a w głosie jej drgają wszystkie struny: miłości, prośby i bezgranicznej rozpaczy... Zdejmuje chuścinę z głowy — otula dziecko.

— Jasiu! dziecko moje... jesce kawołecek!...

— Ni mogę... mamo... — szepcze coraz ciszej i bezsilne opada na zmarzłe łono śnieżne... Matka stanęła — łamie skostniałe dłonie, a wicher, jakby okropności chciał dodać jeszcze temu przerażającemu obrazowi — rozwiał jej włosy czarne i straszną była w tej niemej, niebo skarżącej rozpaczy...

Śnieżyca - matka, widząc swe uosobienie, ostrymi pocałunkami drapie ją po twarzy...

— Jasiu!... — szepcze przez zęby i nachyla się do dziecka, którego wzrok szklany, na nią bez wyrazu zwrócony, odebrał jej resztę sił. — Pragnie podnieść dziecko, i sama na kolana upada... Mróz ścisnął je, przywarł do ziemi i, ziębiąc krew, pchał się ku sercu...

— Gdzie ty Boze, co dajes ginąć dziecku?! — wyrwało się zgrzytem z zamarzłych warg.

— Za co mnie karzes tak straśnie?... Tu... bez księdza... — Pragnie się podnieść, kolana przymarzły do śniegu...

— Przeklęci ludzie!... wygnali z chałupy... Bodaj tak... — Nie dokończyła. Ostatek rozpaczy uleciał z przekleństwem...

Ból straszny ściskał serce, wyżerał oczy

i promieniami rozchodził się po ciele... Wargi chciały jeszcze modlitwę szeptać; myśl ją dokończyła... może — na drugim świecie...

Błyszczały dyamenty śnieżne, mieniąc się barwami, w świetle gwiazd, które rzadkiemi oczkami patrzały z poza czarnej mgły... Błyszczały gwiazdki po śniegu — a cztery większe od innych, jak rzadkie okazy dyamentów między piaskiem drogich kamieni... Błyszczały oczy zamarzłych.

Litośny wicher rzucał śniegiem na cielesne trumny — i rosła... rosła śnieżna mogiła . . .

. . . .

. . . .

I uszło trzy dni... Czas płynie, jak woda. Wioska biała promienieje gwiazdkami śniegu w niecieplłem świetle słońca...

Ludzie z bliska, od kościoła — spieszą po skrzypiącym śniegu na mszę św. Zdalsza nie dojdzie, bo zaspy...

— Komu to wcora dzwonili?... — pyta stary gazda kobiety już niemłodej.

— E wiecie... tej od Chowańca.

— Umarła?

— Toście nie słyseli? Umarzło biedactwo kiesi [1]) razem z dzieckiem. Wypędzili z chałupy. Ta i posła na noc... Znaleźli ją dopiero

---

[1]) Kiesi = dawniej. Lecz najzwyklej używane zamiast: przedwczoraj.

na drugi dzień — pod zospami. Narobiło sie to, narobiło!... I wygnali, skoro juz sił nie stało, jak nieprzymierzając — psa...

Stary pokiwał głową — a idąc ku kościołowi, szeptał „Wiecne odpocywanie“ i „pięć pocierzy“ za duszę komornicy...

Przecię i jemu robiła...

— A było to pracowite — pomyślał — tak marnie... Przecie to ludzie gorsi od zwierząt!... Wygnać na mróz... — i znowu począł: „Wiecne odpocywanie...“

DWIE KARTKI Z ŻYCIA NAUCZYCIELA.

Smutnie i ponuro przedstawia się górska okolica w czasie zmiennego powietrza marcowego... Deszcz i śnieg, naprzemian, zsyłają nieba na ziemię skał, kęp i wiecznej nędzy...

Z nędznych chat, daleko od siebie porozrzucanych, wyłażą nędzniejsi jeszcze ludzie, osłabieni jałowem życiem, jak muchy wiosenne i tęskne oczy zwracają ku słońcu... Liczą dni i przyrost światła słonecznego — wyczekując wiosny, która dla nich wszystkie mieści nadzieje... Złudzeni jaśniejszym przebłyskiem słońca, wnet popadają w pierwotną odrętwiałość, gdy ciepłe słonko skryje się białą chmurą śnieżną i mokre płatki śniegu lecą, jak manna, która ziębi nie karmi...

Lichą dróżyną wiejską wloką się fury — jedna za drugą... Zgłodniałe koniska dobywają ostatnich sił, ciągną jedle i buki po kamienistej drodze, pędzone przekleństwy i jeszcze wyrazistszymi razami batów. Czasem litośny właściciel ramieniem koniowi pomoże — i rzecby

można, że to drugie bydlę, któremu nędza kazała mieć jeden cel z tamtym: dowlec drzewo do fabryki, by za krwawo zarobiony grosz z żydowskiej kasy żywności kupić i popchnąć jakoś biedę...

Przy kamienistej drodze dom stoi drewniany, mało różniący się od innych chałup wiejskich; napis tylko nade drzwiami wskazuje, że to szkoła, mieszkanie „pana prefesora“ i świątynia wiedzy dla nędznie okrytej dziatwy...

Właśnie dzwonek przebrzmiał po rannej nauce. Wysypała się dziatwa na drogę... Małe biedactwo, skulone od zimna, spieszy każde w inną stronę na obiad... Obiad!... nigdzie chyba nie ma większej ironii, jak w tem znaczeniu użyte słowo. Na cały ich obiad składają się: ziemniaki od rana przygrzane i parę łyżek owsianego żuru...

W pokoju „pana prefesora“, który służy za sypialnię, kancelaryę i bawialny pokój, jeżeli kiedy jest takim — dwóch ludzi się znajduje: pan nauczyciel, który co dopiero z izby szkolnej wyszedł, i młody pan Władysław R., który z wizytą zawitał w nędzne progi nauczycielstwa. Żona nauczyciela Z** w kuchni przyrządzeniem obiadu zajęta.

— Jak ci się tu Michale powodzi?... — zapytał nauczyciela pan Władysław.

— Jak zawsze... — brzmi odpowiedź tonem

przygnębienia. — Wlecze się życie z dnia na dzień wśród utrapień rozmaitych...

— Jakich naprzykład?... — pytał dalej troskliwie gość.

— At, nie warto i gadać!... — machnął ręką pan Michał.

I nastała chwila milczenia, w czasie której oczy nauczyciela posunęły się przez okno po smutnem polu marcowem, a wyraz ich był taki sam, jak posępnego powietrza: przygnębiony i apatyczny. Pan Władysław z bólem czytał w obliczu nauczyciela całą jego ponurą epopeję życia.

Milczenie przerwał krzyk dziecka w kuchni, które się niewyraźnym głosem czegoś domagało, czy od mamy, czy też od starszego brata.

Pan Michał drgnął, odwrócił oczy od okna i spojrzał na przyjaciela...

— Tak — począł z rozgoryczeniem — jesteś w szkole, to chlipaj kurz w ciasnej izbie, unoszący się z pod stóp kilkudziesięciu dzieci; przyjdziesz do domu odetchnąć, to dzieci „chleba!“ wołają — żona mówi, że brak jej tego lub owego, — a tu licha pensya i na pół miesiąca nie wystarczy!... Ludzie na wsi zowią mię: „panem prefesorem...“ Co za ironia!... Ucz teraz tyle dzieci w ciasnej izbie, męcz się z niemi, jak wół — to, co za to zyskasz? Niechęć ze strony chłopów. Bo, proszę ciebie — dzieci cho-

dzą nieregularnie, w domu książki nie wezmą w rękę, a ojciec dalejże na „pana prefesora“, że nic nie uczy!... Zrobisz zaś wykaz nieuczęszczających, ojciec zapłaci karę — to znów klnie i wymyśla, że go zdzierasz!... I tak zawsze. Przyjedzie inspektor — to dziwi się małemu postępowi, mnie dyscyplinarkę wytacza... I za co?... Za to, że z prawdziwem poświęceniem pracuję, chcę, by dzieci, dorósłszy, nie były takimi ciemnymi, jak ich ojcowie... I to jest moje życie. Nie o takiem ja marzył, wstępując w ten stan najnędzniejszy. Mnie on wtedy zdawał się apostolskim. Myślałem, że wszedłszy między ten lud nasz kochany, z zapałem spełnię nasz obowiązek patryotyczny — oświecania go książką i słowem, przykładem i zachętą... Z czasem poznałem marność tych ideałów. Spotykając wszędzie niechęć i nieufność ze strony chłopów, ostrą krytykę z góry, trapiony przytem nędzą i ciągłem staraniem się o chleb codzienny, zwłaszcza, gdy Pan Bóg i rodziny mi przysporzył, wówczas rzekłem sobie: „Nic nie warto robić!...“ Machinalnie spełniam już teraz obowiązki — życie zabiło we mnie zapał, z jakim wszedłem do tego zawodu i dziś jestem maszyną rozstrojoną, w której tylko odnajdziesz same dźwięki: zwątpienia, goryczy, prawie że rozpaczy! Takie jest moje życie...

Przestał — i łzy stanęły mu w oczach; pod-

parł głowę i w bezmyślną pogrążył się zadumę...

Pan Władysław słuchał uważnie dawno niewidzianego przyjaciela; współczuł z nim serdecznie... Teraz wstał — podszedł ku niemu i, ująwszy rękę przyjaciela, uścisnął ją ciepło, przyjacielsko... To była cała jego odpowiedź na skargę dawnego kolegi.

Drzwi od kuchni otwarły się i weszła młoda żona, niosąc obiad: talerz kapusty i dwa talerze ziemniaków ze słoniną...

— Proszę pana!... — rzekła, zwracając się do gościa; poczem wyszła do kuchni.

Pan Michał uśmiechnął się gorzko, westchnął i, prosząc przyjaciela, dodał:

— Niewykwintny obiad, jak widzisz...

— O! — podjął Władysław — wyśmienite! To mój przysmak...

I zasiedli, zmiatając w milczeniu gorące ziemniaki... W czasie obiadu urywaną wiedli rozmowę o małoznaczących stosunkach miejscowych.

— Wiesz co Michale — podjął pan Władysław, gdy skończyli obiad — podobno sejm polepszył wam płace...

— Tak — odrzekł ironicznie pan Michał — przyznali nam procent, prawie jak jałmużnę na odczepne, zapowiadając z góry, że to nam powinno wystarczyć na dłuższy szereg lat, żeśmy już od wszelkich żądań powinni nadal odstąpić.

Czy to nie ironia!... Panowie w sejmie drwinki z nas stroili, mówiąc, że się mamy dobrze — a jeden nawet na tyle był bezczelny, że stawił, jako przykład — tłustego nauczyciela w swojej wsi!... Więc cóż mamy robić?... Petycye chyba słać do Wiednia na ręce posła wrogiej nam narodowości?...

— A ja ci powiem Michale coś lepszego...

— No?...

— Złączcie się razem i solidarnością silni — wy, bracia jednego zawodu, stworzywszy swój własny organ, któryby był wyrazem waszego położenia, rozwińcie swój program, któryby odpowiadał chęciom waszym — rozwińcie go społeczeństwu przed oczy!... Dalej — zjednoczeni kształcie się samopomocą!... Inteligencyą, wy szczepiciele oświaty, wybujajcie ponad jednostki innych zawodów!... A wtedy — wy silni, możecie stanąć śmiało i rzec społeczeństwu: „My odłam inteligentny z pośród was — żądamy stosownego wynagrodzenia za naszą pracę!...“ Sejm, jeśli jest reprezentacyą narodu, musi ustąpić waszym żądaniom.

— Bardzo to ładnie — przerwał pan Michał — w teoryi rzeczywiście cudnie się przedstawia!... Wszak mamy swój organ...

— Który nędzę stuoką kreśli i jest głosem krzyczącej mewy, głosem, w którym drgają tylko struny rozgoryczenia!...

— Bo inaczej być nie może!...

— Może. Jeśliby ten organ występywał imieniem tych jednostek, które, same inteligentne, pełne nauki, a przytem pełne ideałów i poświęceń, rzuciły się na ten gorzki zawód — to zgoda; ale zważ, że to jednostki dość nawet rzadkie. Większość — powodowana czy to słabością ducha, czy też prostem filisterstwem — żyje z dnia na dzień bez samokształcenia. Co miała wiedzy — traci ją z czasem i niczem się nie różni od przeciętnego robotnika... Ta większość kieliszkiem tylko uprzyjemnia swój żywot.

— Bo musi!... — przerwał z goryczą pan Michał — pcha ją do tego nędza...

— Dobrze, pozwól!... a gdzie siła ducha?...

— U tych ludzi jej nie szukaj. Jeśli była w nich, to ją troski i ciągłe szamotanie z losem złamią...

— A gdzie te jednostki? ta lepsza część z was? Ci powinni ich pociągnąć za sobą i zmusić moralnie, w imieniu polepszenia bytu, do nauki!... Lud, starając się o polepszenie bytu — oświeca się. Lud was wyprzedza — was, odłam, mający prawo zwać się „inteligentnym!...“ Podnieście wśród siebie poziom inteligencyi; a zobaczycie, czy milczeniem pominą wasze głosy!... Przyznaj, że u was lenistwo górą. Mówicie, że polepszenie bytu wypędzi lenistwo i zachęci do pracy... Ha! może. A z drugiej strony może je

powiększyć. Natomiast wy, skupiając się, pracując nad sobą, zmusicie ich moralnie do poparcia was!...

— To tylko teorya...

— Wiedz, że każda teorya staje się praktyką, gdy wchodzi w życie...

— Więc jak ją myślisz w życie wprowadzać?...

— Jak rzekłem. Łącznością, solidarnością można tylko działać. Potrzeba najpierw ludzi, którzyby zainicyowali tę myśl: wszak ona i tak w każdym z was rozumniejszych tkwi... Brak tylko energii! Potrzeba wieców — gdziebyście się zbliżyli, poznali myśli i dążenia każdego... Potrzeba wam pisma, któreby energicznie popierając wasze żądania, dało prócz tego wyraz waszej inteligencyi w świetnych artykułach, pisanych przez was samych... Dalej — potrzeba konkursów zawodowych, o nagrodach pieniężnych, by zachęciły biednych, á zdolnych — do pracy... Dalej...

— Dobrze, dobrze — przerwał pan Michał — na to potrzeba najpierw pieniędzy, a ten środek chyba nam — przyznasz — najdalszy.

— Po części nie tak daleki, jak się zdaje... Jest was siła — z małych ofiar tysięcznych powstają miliony!... Potrzeba wam tylko ludzi. O, to najważniejsze... Sądzę, że ludzi tych u was nie brak; tylko są oni ukryci; zdolni,

inteligentni, a zniechęceni, jak i większość... Tych rozruszają wiece, zgromadzenia, pogadanki — wreszcie owa siła, którą muszą zobaczyć, gdy się złączycie!...

— Optymizm, nic więcej — mówił sucho pan Michał. — Czy nam pozwolą się zgromadzać?... urządzać wiece?... Mamy my czas na pogadanki?... Toć powiedzą, że nam konferencye powinny wystarczyć — i basta...

— Ja sądzę — ciągnął dalej pan Władysław — że czas się znajdzie. Jest dużo świąt. A wiece i zgromadzenia gwarantuje konstytucya...

— U nas?... Ha! ha!... — roześmiał się gorzko pan Michał — chyba nie wiesz drogi, jak my jesteśmy zależni — wprost terroryzowani. U nas, gdzie istnieje ten sławny, tajny donos - ty sądzisz, że się każdy zechce narażać tam... u góry?... W takim razie pozwól, że ci powiem, iż patrzysz z boku, położenia naszego nie znasz dokładnie; masz wprawdzie idealne zamiary i chęci, które niestety zawsze chęciami zostaną... Ty myślisz, że i w samym naszym zawodzie nie znajdą się ludzie, którzy nam zechcą w takim razie szkodzić?... Wszak sam powiedziałeś, że większość nas, to ludzie bez wyższej inteligencyi... Czy oni zrozumią doniosłość łączenia się, samokształcenia i tak dalej?... Już to tak zostanie...

I pan Michał zwiesił głowę z jakąś nieokreśloną apatyą, a Władysław, milcząc, patrzył się długo w jego zawiędłą twarz, oko bez życia — i pomyślał:

— Jeśli wszyscy tacy — to szkoda i mówić!... Żal mi ich... Ot, co stosunki nasze robią z ludzi... To maszyny!...

Dzwonek odezwał się na strychu... Dzieci poczęły napływać do izby szkolnej... Niezadługo i pan Władysław R** żegnał się z przyjacielem, z żoną jego i, ubrawszy się, wyszedł przed sień; za nim postępował jeszcze, wyprowadzając gościnnie, nauczyciel...

— Odwiedzisz mnie jeszcze?... — spytał.

— Jeśli dłużej zabawię, owszem...

— No, do widzenia!... Trzeba iść do klasy. Dzieci wrzeszczą. Lada dzień spodziewam się inspektora... Do widzenia!...

Ucałowali się — rozstali... Gwar dzieci nagle ustał za wejściem „pana prefesora“, jak za jakiem zaklęciem czarodziejskiem. Pan Władysław wsiadł do sanek, ukłonił się jeszcze do okna nauczycielowi — i słychać tylko było monotonny głośny pacierz dziatwy, to drobne dzwonki mknących po gładkiej „gołoledzi“ sanek...

* * *

W powiatowem miasteczku L** ruch panował wielki... Jarmark — więc mnóstwo ludzi ściągnęło z okolicy i z dalsza. Krzyki, nawoływania przekupniów, kłótnie handlujących żydów, beczenie ciągniętych na rzeź cieląt, ryki głodnego bydła, śpiewy hałaśliwe ubłoconych pijaków, wszystko to zlewa się w jeden hałas jarmarczny, niesłyszany w innych zbiegowiskach, li tylko na jarmarkach mający miejsce...

Dodać potrzeba, że jarmark odbywa się w czasie przejściowym z zimy do wiosny, błoto więc, mieszane tysiącami stóp, przelewa się, jak rzeka brudnej lawy... Gdzieniegdzie można napotkać sterczący z błota but lub „kerpiec“, zwyczajne obuwie ludu podkarpackiego. Pijany nie dba, kerpiec zostawił w błocie i idzie dalej boso, choć to przecie jeszcze zimowy czas...

Prócz kotłującego, różnobarwnego tłumu, toczących się w ciżbie wózków, obłoconych długobrodych hałatników, najwięcej gromadzi się „luda“ przy straganach, jatkach, miejscu dla bydła i przy czerwonej „prepinacyi...“ Tam już największy hałas. Przyjętem jest u ludu, że każdy prawie z bliższa ciągnie na jarmark, czy ma co sprzedać, kupić, czy też nie ma... Przynajmniej pogwarzy ze znajomymi, poskarży się na biedę, dowie się, czy bydło tanie, a co najważniejsza, upije się „przy okazyi...“

Tacy, przejrzawszy jarmark, siedzą w „pre-

pinacyi“ do późnej nocy, gdzie biorą czynny udział przy każdym „litkupie“ znajomych sprzedawców... Dobrzy do gwary, do „kompanii“, póki im te litkupy języków nie poplączą i nie zwalą pod ławy karczemne...

Ot, i teraz pełno ludzi w propinacyi. Ciżba, zaduch, kotłowanie i hałas nieopisany... Każda izba nabita, w sieni nawet i przed sienią stoją ludzie. Tu jakaś kobieta ciągnie chłopa za „chazukę“ i wymyśla wrzaskliwie; tam paru czerwonych parobczaków namawia nieśmiałe dziewczęta, by choć na niedługo, „na końdecek“ wstąpiły do izby szynkownej.

Gwar w najrozmaitszych tonach miesza się z krzykliwym śpiewem pijanych...

Ot, właśnie jakiś niemłody gazda, porządnie „zakropiony“, kołysze się „na letkich kerpiołkach“, a szarpie z kobietą, która się stara wyprowadzić go „do chałupy...“

— Tam dzieciska głodne... Trzeba wziąść soli. Tu nicego nie wysiedzis!... — mówi kobieta uparcie...

— Eh, dyabli ze solom!... — odpowiada jej. — Teroz sie nie uciesę — kiez sie uciesę?... — i obejmuje ją wpół, śpiewając chrapliwie:

„Ani jo zagrody, ani jo piniędzy!...
Syćko djabli wzięni — jesce umrę w nędzy...“

To nie pij!... — krzyczy mu kobieta w uszy... — nie daj zydowi!...

A gazda ciągnie ją do izby, kończąc:

„Ktoz mie tak urocy — ktoz mie tak ugości?
Jak nima piniędzy — do zyda noprości!...“

I jeszcze z za drzwi, z hałasu się wydobywa.

„Pił mój dziadek jesce — i ociec mój pijoł...
Wtoryzby sie synek z tatusiem wymijoł!...

A w sieni parobcy, ciągnąc dziewczęta, nucą im już ciszej:

„Na samym wiersycku — bucek przy lescynie...
Powiedz-ze dziewcyno, cy mie kochos, cy nie?...“

. . . .

Mieszanina to poezyi, spadłej w jarmarczne błoto i najrzeczywistszej prozy, która dopiero w kontrastach wpada w oczy.

Z małej izdebki, którą „pon prepinotor“ specyalnie dla inteligentników przeznaczył, wysypała się do sieni cała owa inteligencya, mieszając się z różnobarwnym tłumem...

Więc było tam paru dyurnistów z urzędu podatkowego i ze sądu, dwóch najważniejszych w miasteczku instytucyi, oprócz nich paru nauczycieli z okolicy.

Pierwszego każdego miesiąca, w dniu odbioru pensyi, można ich tu spotkać. To jeden dzień w miesiącu, w którym wszyscy ci „pensyjni“ czują się weseli, zadowoleni, jakby co najmniej każdy z nich dzierżył w kieszeni dyplom na szefa ministerstwa.

Jeden z nauczycieli, ów apatyczny przedtem pan Michał, potknął się o nierówny bruk szerokiej sieni, i z przekleństwem potoczył się ku przeciwległej ścianie...

Ho! ho! Michał już urznięty!... — zawołali chórem towarzysze kieliszka. A pan Michał, chwiejąc się, nucił dosłyszaną śpiewkę:

„Powiedz-ze dziewcyno, cy mie kochos, cy nie?...“

Jeden z kolegów wziął go pod rękę, wyszli przed próg.

— Gdzie idziemy?...

— Do mnie... na krótkiego!... — zaproponował jeden z „podatkowców“.

— Niech będzie!... — ozwał się pan Michał głosem przerywanym częstą czkawką... — Pół pensyi dyabli wzięli, niech wezmą i resztę!... — i ruszyli razem przez rzękę błota.

Ludzie znajomi spotykają „pana prefesora“, zdejmują z daleka kapelusze, kobiety całują go po rękach, a „dziwują się, ze pon prefesor tak nie umieją chodzić po błocie...“

Bo rzeczywiście pan Michał chwiał się, słaniał na wszystkie strony; gdyby nie towarzysze pomocy, dałby za wygraną i popłynął z falą błota na skrzydłach... alkoholu...

— Głupi ten Władek!... Czy my nie ma-my ide...ałów!... — mówił głośno pan Michał do podtrzymujących go towarzyszów. — Łączmy się!...

Łączm... — i czkawka nie pozwoliła mu dokończyć.

Jakiś stary emeryt-tetryk, któremu jeszcze z życia obserwacya pozostała i rękaw pytań nierozwikłanych, obchodząc zdaleka błoto, o ile się dało, dojrzawszy ludzi, którzy idą prostą drogą przeciw wzburzonym falom... błota — zapytał siebie po raz setny:

— Czy pijaństwo wyradza nędzę, czy nędza pijaństwo?...

I po raz setny nie rozwikłał pytania...

SIEROTA NA „DOCHOWKU“.

Mała chatka stała pod lasem na odludnem polu. Do okoła niej puste tłoki [1]), a dalej las pnący się czernią po stromej górze ku niebu... Ta samotna chatka, jak koleba na polanie [2]) na wygnańczy los skazana, kryła przecież ludzi w wąskiem i pustem wnętrzu. Pod okienkiem, w którem dwóch szybek brakuje, siedzi dziewczyna na ławie niskiej, ledwo co z większa ociosanej.

Sama jedna w chatce, jak pustelnica. Ręce splotła na kolanach i patrzy przez okno w las, ku niebu...

Piękne, samotne dziewczę z nędznej izby w mieście może i pałacyk stworzyć... Niestety! często bywa tak; nędza pomysłową doradczynią...

Ona znała nędzę i patrzy na nią, ale myśli nie zna innych, oprócz tęsknoty samotności, oprócz

---

[1]) Tłoki = rola przez kilka lat nieobsiewana.

[2]) Polana = łąka w górach; koleba = szopa na polanie, sklecona z pniaków i nieociosanych belek.

rozpaczy szlachetnej, która się wysila nad sposobami życia, gdy ich znikąd nie ma.

Raniutko — tak pięknie na polu, żeś miać się tylko do letnich obrazków dnia słonecznego!... Ona łzy ma i smutek na twarzy, równie piękny, jak uśmiech. Piękności swej nie czytała z luster, a w wodzie-zwierciedle widziała za sobą błękitne niebo. Porównywać nie śmiała... Jej — do nieba!...

Łamanem światłem, pomięszanem czernią błękitnawą lasu i zielonością szarą łąk, wpadało słonko do chatki...

W świetle tem, roztęskniona Anielka, z załamanemi rączkami, jasnowłosa i smukła, a przygnębiona nieszczęściem, była żywym obrazkiem „pięknego smutku“.

Oczka sine, duże, do słonka posyła, jakby stamtąd pomocy błagała. O ludziach ani pomyślała dotąd! „Oni tacy zimni!“ Wszak znała ich od dziecka. Do wsi biegała często, kiedy żyła jeszcze matka. Matusię zabrał Bóg do siebie — o, już dawno — mało nawet pamięta... Rosła przy ojcu, owce pasała na polanie, a ojciec w lesie ścinał drzewo żydowi. Z miasta przynosił żywności, mleka mieli dość. Było im tak dobrze... Kiedy podrosła, ojciec sprzedał owce, mówiąc, że się boi o nią, że sama już paść nie powinna. Dziwiła się temu, bo przecie, gdy malutka pasała, ojciec się nie bał, pozwalał gnać daleko na po-

lanę, a skoro podrosła... Dziwnem jej się to wydawało. Cóż? musiała słuchać.

Więc w chatce siedziała, a ojciec nadszedł wieczorem z lasu, to się nagadali do woli. I miło im było we dwoje. Ona na jagody wybiegła latem i śpiewom kosów przysłuchiwała się rankiem... Oj, miłe życie było!...

Wtem raz, pamięta dobrze, przywieźli ojca z lasu. Nie mogła poznać; cała twarz krwią zalana. Drzewo przywaliło i zmiażdżyło na śmierć tatusia...

Tu łza stoczyła się perlista i wstrzymała na chwilę latające myśli...

Pamięta — to tak niedawno. Zdaje się jej, że to dopiero wczora. Na widok nieżywego tatusia poczuła okropny ból w sercu... Dawniej nigdy nie doznawała tego uczucia. O! potem poznała i inne...

Ojca zawieźli na cmentarz i wrzucili do dołu... Ludzi było niedużo. Ksiądz nie pokropił „trunny“, jak innym umarłym, nikt też nad grobem nie zaśpiewał. Ona, jak we śnie, patrzała na to wszystko. Sama nie wie, jak trafiła napowrót do chaty. Siedziała potem sama długo, długo... słonko się parę razy obróciło — czasu nie rachowała... Zdawało się jej ciągle, że tatuś przyjdą z lasu, a tu nikogo nie widać... Poczęła wreszcie wierzyć, że została sama jedna na świecie... Głód wygnał ją z chatki, na robotę. Ot, i wczo-

raj dopiero wróciła ze wsi; mąki ludzie jej dali i mleka za płacę... To na tydzień wystarczy. Wszak ona tak mało potrzebuje!... A dla samej jednej, to się i gotować nie chce. Toż maliny są w lesie. Ino, że się okropnie cnie... Trzeba do ludzi, koniecznie...

I patrzała w niebo jasne z wyrzutem na swoją dolę samotną... Łzy, jak dwie siostrzyce, spłynęły na ukojenie. Otarła oczy trokiem chusteczki i poczęła nucić pieśń z książki matczynej, którą na pamięć umiała, a i melodyę dorobiła sama. Głos cichy, dźwięczny i czysty płynął skargą przez okienko ku niebu:

„Sierota ja Mocny Boże
Bez Twojej opieki;
Jeśli mie ta nie wspomoże —
Sierotam na wieki...

To znowu ufnością się potęgował:

„Choć spoglądasz z tak daleka —
Z wysokiego nieba,
Przecie, patrząc na człowieka,
Wiesz — czego mu trzeba...“

. . . .

I powtarzała każdą zwrotkę po dwa razy.

Nagle przestała, wychyliła główkę przez okno. Zdala doleciał do jej przeźroczystych od słonka uszu tentent konia. Zdziwienie przejrzało z jej oczu. Ta to tu nikt nigdy nie zaglądał! Droga

wiedzie do lasu, daleko od chatki. Któżby się tłukł przez tłoki i ugory?...

Nie było to złudzenie. Cień zamajaczył w świetle — i jeździec stanął przed chatką. Dojrzał w okienku twarzyczkę dziewczyny, zeskoczył szybko i wszedł po izby. „Na wchodnem“ pochwalił Boga, dziewczyna odpowiedziała. W przybyłym poznała leśniczego ze dworu. Widywała go nieraz na drodze, gdy przejeżdżał, albo też w lesie przy drzewie. Teraz w jej oczkach malowało się pytanie. Nie mogła z przelatujących myśli dojść, pocoby on tu przyszedł. Przecie nie raz mijał chatę, a nie wstąpił...

Leśniczy zaś, obrzuciwszy wzrokiem wnętrze izbiny, zwrócił się do dziewczyny.

— Ty sama?...

— Sama... Przecię wiecie...

— A wiem. Ojciec zginął...

— Oj tak — i „fartuch“ do ócz podniosła.

— Co robisz?...

— Chodzę do wsi.

— Wystarczy ci na życie?

— Wystarczy... Ale źle, smutno... — Odpowiadała, jak dziecko.

Leśniczy popatrzał na nią. Współczucie widniało z jego poczciwych oczu. Chciał coś wyrzec, zawahał się. Nareszcie począł nieśmiało:

— Do dworu-byś nie poszła?...

Dziewczę pytająco popatrzało na niego.

— No, do dworu — objaśniał — do państwa na służbę. Oni dobrzy. Pokojową panną będziesz... Pani słyszała o tobie. Przysyła, by cię zabrać na dochowek...

Dziewczę patrzało na niego, nie wiedziało co mówić.

Leśniczy sądził, że nie rozumie. Powtórzył wyraźniej.

— Wiem, wiem... — odpowiedziała dziewczyna i zamyśliła się.

Leśniczy patrzał na nią... Począł żałować już słów, które wyrzekł.

— Zresztą, jak chcesz...

— Pudę do dwora... — powiedziało silnie dziewczę.

— To przyjdź do pałacu. Możesz dziś...

— Dziś przydę.

Leśniczy pożegnał ją.

— Z Panem Bogiem — odpowiedziała.

On siadł na konia i ruszył do wsi...

— Szkoda dziewczyny — myślał jadąc — ładna, to i tem gorzej!... Lepiejby jej tu było. Ha! cóż?... Kazali, trza było, Pan Bóg przecię nie da jej zmarnieć!...

A w chatce dziewczyna myślała z otwartemi oczami. Nad czem?... Bóg raczy wiedzieć. Może nad nowem życiem, którego nie znała... Ciekawością pragnęła go i bała się przeczuciem. Oj bała się!... A nie było nikogo, coby sierocie doradził.

Wdziała „gopy“ [1]) na siebie, chustkę narzuciła, wzięła książkę matczyną i wyszła, zamykając drzwi za sobą... Ruszyła ku wsi, do dworu... A słonko w twarz ją biło promieniami, jakby ją chciało wrócić do chatki.

* * *

Lat sporo uszło od tego czasu... Drogą, która wiodła pod górę, szła kobieta z zawiniątkiem na ręku. Szła chwiejnym krokiem, a regularna, blada twarz o bolesnym wyrazie, dziwnie odbijała od jasnego pustkowia... Zboczyła ścieżką na pola i szła dalej po tłokach i ugorach... Nagle stanęła — obejrzała się dookoła, przetarła dłonią oczy, które rozszerzały się zdziwieniem... Czarny „plac“ i kupa głowni opalonych leżało przed nią. Wpatrzyła się w nie, to znów spojrzała po polu.

— To tu!... o Boże!... — jęknęła głośno. Nogi zadygotały z bólu i osunęła się na kolana.

— Moja chatka! Moja chatka!... — zajęczała i łkanie bolesne szamotało piersiami... Zawiniątko delikatnie złożyła na ziemi. Chuścinę wiatr odchylił i ukazał maleńką główkę dziecięcia... Zapłakało głośno. Matka znów wzięła, przytuliła je do piersi. Dziecię poczęło ssać pokarm, mrucząc zadowoleniem, jak małe kocię... Matka

[1]) Gopy = przyodziewek, bielizna wierzchnia.

odwróciła głowę, by łzy nie leciały na twarzyczkę maleństwa. Łzawe oko posunęła po zgliszczach... Ile to i jakich pamiątek może zniszczyć lekkomyślna zabawka! Pasterze, kiedy rozniecali ogień pod strzechą opuszczonej chaty, ani na chwilkę nie przypuszczali, że łzy tu kiedyś popłyną tak obfite, iż ogniskoby mogły zagasić... Patrzyła kobieta na zgliszcza, i w nich widziała zagubę wspomnień z młodych lat, widziała zniszczoną ostatnią kryjówkę złej doli... Patrzyła na dolę dzisiejszą, a wspomnienia miłych, choć sierocych lat ulatywały z pamięci, osłonięte smutkiem... Patrzyła na góry, i puste widziała wyręby... Czy wszystko niszczy czas?

Płyńcie łzy smutku i wspomnień ulatających i obawy przerażającej przyszłości!... Nic was nie ukoi. Ni widok chatki, bo jej nie ma, ni czernia lasów, owa czarna szata wspomnień z pasterzego życia, bo ją zdarły ciupagi chłopskie za żydowskie pieniądze, a lekkomyślność pańską, ni ludzie litościwi, od których podarunek, maleństwo, ssie zawiędłą pierś i tak już bólem wyssaną... Płyńcie łzy sieroce!...

Resztkami wypłakanych łez miejsca wspomnień żegnała i ku wsi powlokła chwiejne nogi... A słonko nie bije ją już w twarz promieniami, nie wraca napowrót... Oj, mogła wtedy słonka usłuchać, nie chodzić do dworu na dochowek!... Taj dochowała się...

ZEMSTA TRUPA.

Wchodzimy do dymnej izbiny góralskiej. Ściany i powała świecą się, jakby lakierem pociągnięte; to dym sadzami tak je pomalował... Grube, nieociosane belki poleni dźwigają długie siągi smrekowych drew. Piec szeroki z „nolepą“ [1]), ławy brudne koło ścian, łyżnik, półka na miski, konewki do góry dnem przewrócone, „młynek“ [2]) przy drzwiach i parę niskich stołków — oto cały sprzęt, jaki się znajduje w piekarni.

Na glinianej, śliskiej ziemi dzieci się bawią struganiem patyczków; kot, wylizawszy rynkę [3]), przybliżył się milczkiem ku niem i bawi się „obstrzępanemi“ sukienkami.

---

1) Nolepa = kawałek pieca, wysunięty naprzód, służy jak blacha do gotowania. Tylko rozpala się ogień na wierzchu, garnki stawia się dookoła. Dym idzie prosto na izbę.

2) Młynek = inaczej żarna, na których się rękami kamień obraca.

3) Rynka = rondel.

Przez dym, wypełniający od góry połowę piekarni, widać kobietę, która przykłada na „nolepę“ drew do ognia, to znów przystawia garnek z kapustą i odczerpuje warzechą wodę z żeleźniaka, napełnionego drobnymi ziemniakami. Kobieta może mieć lat trzydzieści... Twarz szczupła, regularna i dwa czarne, długie warkocze, wysuwające się z pod kraciastej chusteczki — miłe czynią wrażenie, gdy się na nią spojrzeć. Ubrana w „katankę“ i czarną, z białemi kropkami spódnicę, wdzięcznie się zwija koło „nolepy“; wiotka i smukła, jak habina, gdy się przechyla ku garnkom.

Przez zadymione okna słonko prościutko pada na dzieci, bawiące się na środku izby i pozłaca promieniami jasne kędziorki dwojga maleństw.

— Helo!... — ozwała się kobieta od „nolepy“ — nie strugoj patyka, bo sie okalicys, abo sobie drzyzgę wbijes do paluska. Lepi idź, zawołaj taty na obiad, bo juz połednie... No, Helu! słuchos co ci mówię?...

Jasnowłosa Hela poskoczyła żywo do drzwi otwartych na oścież i wybiegła sienią do pola... Młodszy braciszek począł figlować z kotem, a matka „klękła przy nolepie“ i mówiła „Anioł Pański“, poglądając do garnków, czy który nie „skipi“...

Odmówiwszy modlitwę, wstała i postawiła ławkę na środku izby. Następnie wyjęła miskę z za półki i, odcedziwszy ziemniaki, wysypała

na nią; poczem kapustę omaściła „skwarkami“, zgarnęła do ziemniaków i poczęła mięszać łyżką, odmuchując gorącą parę, która z miski buchała w górę.

Po skończeniu tej czynności postawiła miskę na środku ławki, wyjęła łyżki i poukładała koło miski. Równocześnie wbiegła zdyszana Hela.

— Po co tak lotos!... — zrobiła jej uwagę matka — ni mozes pomału iść? Jesce sobie ocy ka wybijes. Podej stołki!... A tata nie idzie?...

— Idzie... — odezwała się dziewczynka.

W tej chwili dało się słyszeć w sieni ciężkie stąpanie i do izby wszedł dorodny chłop, mało co starszy od kobiety, a rozrosły, jak smerek. Rzucił kapelusz w kąt, na ławę i siadł na stołku... Matka siadła na końcu ławy i podała dzieciom małe, drewniane łyżki.

— Helo! zmów pacierz przed jedzeniem... — rzekła do dziewczynki, pociągając ją ku sobie i głaszcząc jej jasne kędziorki.

— Jee!... — oganiało się dziecko z grymasem.

Chłop, nie patrząc, sięgnął po łyżkę i począł jeść.

— Widzis — mówiła mu z wyrzutem kobieta — ty nigdy pacierza nie mówis, to i dzieci sie tak ucą. Helę teroz musę naganiać do pacierzy, a jak była mniejso, to sie sama garnęła... Jaki ociec — takie syćko.

— Jedz!... — odburknął chłop — i nie godoj. Dość mom tego trzescenio poza usy. Dziecku dej spokój; jak podrośnie - to sie naucy...

— Ho! mocny Boze! naucy się ta potem, jak za młodu nie przywyknie!... — mówiła, jakby do siebie. — No, Helu!... przezegnoj-ze sie chocioz i weź łyzkę!...

Hela podniosła leniwie rączkę do czoła:

— Mię Ojca... i Ducha siętego...

Jakze ty mówis?... — przerwała jej matka i poczęła z nią mówić:

— W Imię Ojca... wyraźnie!... i Syna... na piersi rąckę!... i Ducha...

Kapryśna Hela, która dotąd ledwo wstrzymywała łzy — rozbeczała się przy słowie „i Ducha“ na głos...

— Hela! nie dostanies obiadu!... — rzekła surowo matka i odsunęła ją od siebie. Ta jeszcze głośniej poczęła szlochać. Matka wzięła łyżkę i, nie zważając na nią, „obiadwała“ razem z mężem i małym Stefkiem.

Hela, wypłakawszy się, widząc, że to nic nie pomoże, przysunęła się ku ławce, przeżegnała potem wyraźnie i spojrzała na matkę nieśmiało.

— Widzis, ze umies... ino wykręty mos zawse... — Pociągnęła dziewczynkę, ucałowała w główkę i podała jej łyżkę.

Wszyscy pożywali obiad jakiś czas w milczeniu...

— Jest jesce co?... — spytał mąż, kładąc łyżkę.

— Są kluski z mlekem, ale ojcu trzeba zostawić, jak nadejdzie... On insego ni moze jeść, a kto wie, cy ta ka co dostoł...

— Ty ino ojca pasies!... — odezwał się gniewnie chłop. – Ociec nic nie robi; mógłby zjeść byle co. A jo sie napracuję, narobię, jak nieboskie stworzenie, a tu nika nic!... Dyabli z takiem zyciem!...

Ej Ignac! nie obrozoj Boga! — mitygowała go łagodnie żona — momy chwała Bogu co jeść, nic nom nie brakuje. A ze robić jest co, to i za to Bogu dzięki; bo jakozby człek zył bez roboty. Na ojca sie nie pociekoj, bo ni mos o co...

— Oj Ignac, Ignac!... — mówiła po chwili z łagodnym wyrzutem — proś Boga, zeby nom scęściół, a nie karoł za to, ze ojcu dajes zebrać. Przecię to i grunt jest i cosi kasi, nos jesce mało; przy nosby sie łatwo wyzywiół. Choć to nie mój rodzony ociec, ba twój, alebych mu łyzki strowy nie zazrościła!... On na stare lata włócyć sie ni moze, a ty go z chałupy wyganios... O lepsego ojca trudno, a ty go tak nie sanujes! Uzbiero co, to ci zaroz daje...

— Bo powinien... — mruknął chłop.

Powinien, pados?... Toś ty powinien zywić go na starość, kie cie wychowoł i oddoł grunt. Pamiętoj, zeby sie kiedy włosne dziecko z to-

bom tak nie obesło... Pon Bóg litościwy, ale i sprawiedliwy...

Dość tego!... — krzyknął groźnie mąż — kozań mi tu nie prow nademną!... Cy myślis, ze stary pinię̨dzy ni mo?... Ale skąpiec, sknera, woli chodzić po zebraninie, jak se zyć po pańsku z uskładanego grosa. Mnie by teroz trza woły kupić, to nie do...

— Bo ni mo! — zaprzeczyła energicznie żona.

— Musi mieć!... Kaby podzioł?!... Ty mi Nosta nie godoj! jo wiem, co robię...

— Rób, zeby cie ino Pon Bóg nie skoroł..

Trzeba zauważyć, że Ignac w czasie tej rozmowy sięgnął na „nolepę“ po garnek z kluskami i, wlawszy mleka, kończył obiad... Żona nie śmiała mu już robić żadnych uwag.

Teraz wstał, przeciagnął się, aż kości zatrzeszczały mu w stawach i, popatrzywszy ironicznie na żonę, wyszedł z izby.

— Przed wiecorem wrócę od siąg [1]... Ino zamiost kozanio przyrządź mi lepsą wiecerzę!... — rzucił na odchodnem.

Kobieta popatrzyła za nim i westchnęła ciężko do jakiejś myśli; potem, zebrawszy łyżki, wlała wodę na miskę, umyła i poukładała za półką.

---

[1]) Siągi (= przenośnie) miejsce, gdzie się siągi rąbie

Ęhę! jesce cielęciu mom dać wody... — szepnęła do siebie.

— Helu! podej mi cebrzycek!...

Dziewczę skoczyło po naczynie, a matka, zlawszy „ziemniocorkę“ [1]), omaściła mąką i miałką solą i poniosła do stajni...

Mały chłopczyk bawił się z „trusiami“ [2]) na środku izby, głaszcząc je po lśniącej sierci.

— Stefciu! zostań... jo tlusiom przyniesę konicyny!... — odezwała się z szepleniem dziewczynka i pobiegła szybko na pole...

Mały Stefek, nie namyślając się długo, przegramolił się przez wysoki próg i dalejże za siostrzyczką w pole!...

W chałupie nikogo, oboje drzwi na ściężaj otwarte. Króliki tylko skaczą i gonią się po wilgotnej podłodze. Słonko przechyliło się już z południa i resztkami dłuższych promieni pada na szyby, czerwono-brudne od gęstej sadzy dymu. Roje much latają z garnka na garnek, to biją w okna, a dudnią, jak cały ul trzmieli. Jeden kot spokojny usadowił się na oknie do słonka i, przymrużając oczy, udaje, że śpi, a baczy na każdy najmniejszy szmer... Zaszeleściało koło okna i cień się złamany przesunął poza szyby...

---

[1]) Ziemniocorka = woda ze ziemniaków (ziemniaczarka).

[2]) Trusie = króliki domowe.

Kot spojrzał jednem okiem i znów zasnął: widać nic podejrzanego... W sieni odezwał się ciężki posuwany krok i na progu stanął przychylony wiekiem starzec... Twarz miał pomarszczoną, zaschłą, o ostrych rysach; wąs biały, szczecinowaty; pod wielkiemi siwemi brwiami małe i siwe, przygasłe już, lecz dziwnie miło patrzące oczy... Białe kosmyki włosów wysuwały się na szyję z pod „strzępiatego“ kapelusza. Krótka siwa „chazuka“, koszula brudna, kij i przewieszona lniana torba dopełniały resztę obrazka.

Gdy stanął we drzwiach, obejrzał się po izbie, potrząsnął głową ździwiony, że nie zastał nikogo i usiadł na progu, a z piersi wypadł cichy, stłumiony jęk, jak brzmienia strun rozstrojonej cytry, kiedy się ją na stole kładzie...

Następnie zdjął kapelusz z głowy, rzucił na ziemię i, przeżegnawszy się powoli, począł mówić pacierz; ręce mu opadły, bezwładne, jak drewno... A on patrzył się w okno, do słonka i wargami poruszał...

Światło matowo-czerwone padało od szyb na łysą głowę dziada, to w półcieniach spadało po kosmykach białych włosów i jeszcze bardziej zbliżało tę pomarszczoną, suchą twarz, do żółtej maski trupiej... W dwóch tylko sinych punkcikach tli się jeszcze życie, ale mdłe, jak światło dopalającego się kaganka i ono wnet zagaśnie...

Tych dwoje siwych ócz pobiegło gdzieś daleko przez czerwone światło szyb: może ze wspomnieniami w dawne lata, a może z pacierzem po promieniach, co łączą oczy ze słonkiem, dalej jeszcze... ku Bogu. Kto wie... Twarz pomarszczona nie zdradzi, a poruszające się machinalnie wargi mogą i wzruszeniem drżeć i głodem... Bóg to raczy wiedzieć.

W sieni, za plecami dziada, stanęła kobieta.

— A, to wy tatusiu!...

— Jo... dziecko... jo... — rzekł starzec drżącym, słabym głosem i zwrócił głowę ku niej, a widząc, że stoi z cebrzykiem i nie może przejść koło niego do izby „zgrotał się“ [1]) powoli i powlókł ku ławie pod okno... Kobieta weszła, postawiła cebrzyk w kącie.

Chce sie wom jeść tatusiu?... — spytała pieszczotliwie, całując dziada w rękę.

— E nie, Nostuś... nie... ino tu boli... — wskazał rękę na piersi — tu, tak dusno...

— O lo Boga!... — lamentowała kobieta — trza przecię co radzić...

— E nie trza... nie... nic nie pomoze... — Łzy zaświeciły mu w oczach i stoczyły się powoli, jak ziarnka, po zaschłej twarzy.

— Przecię moze jesce nie tak źle... — mówiła Nastka przez łzy.

---

[1]) Zgrotać się = zgramolić się (zebrać się powoli).

— O nie... nie... — wyjęczał stary i objął łagodnie głowę synowej.

— Tatusiu, moze sie połozycie?... Pościelę wom w izdebce...

— Dobrze, dobrze dzicię... — Wzięła starego pod rękę i przeprowadziła do izdebki.

— O, tu wom bedzie dobrze...

— Bedzie, bedzie... — szeptał stary. Synowa przeniosła na jedno łóżko dwa „zogłowki“ i pierzynę.

— No... legnijcie tatusiu!... Przespijcie sie... A moze sie mleka przedtem napijecie?...

— O nie, nie... — oganiał się stary. Popatrzył na synowę mile.

— Tyś dobre dziecko... — począł szukać drżącą ręką w zanadrzu. Wyjął zawiniątko, podał jej.

— Naści... przydo ci sie... — Nastka cofnęła rękę.

— Schowajcie se tatusiu... wom sie prędzy przydo...

— E mnie juz nie trza, nie... schowaj. Kobieta wzięła zawiniątko, podniosła wieko skrzyni i wrzuciła... Stary się przeżegnał powoli i położył na łóżku. Synowa wzięła pierzynę, by go przykryć.

— Daj pokój... — powtórzył — niech ci Bóg... — i wzruszenie, czy osłabienie nie pozwoliło mu dokończyć. Przymróżył oczy...

Nastka, w przekonaniu, że usnął, wyszła cicho do piekarni...

Równocześnie dzieci wpadły z hałasem do sieni.

— Cicho!... — szepnęła matka dobitnie — dziadek spi w izdebce...

— Spi?... — zatrwożyły się dzieci i natychmiast się uciszyły.

Hela rzucała trusiom po szczypcie koniczyny na podłogę, a Stefek głaskał je po miękkiej sierci.

— Jedzą tlusie — mówił ze śmiechem do matki — jak sie im usy trzęsą!...

— Dobrze, dobrze — rzekła matka — ino cicho!...

Siadła na ławie, przysunęła koszyk ze ziemniakami i poczęła skrobać i rzucać oskrobane do „cebrzycka“, po obrączki napełnionego wodą...

Tymczasem w izdebce dziadek spał... Ciężki oddech męszał się naprzemian z regularnym chodem staroświeckiego zegara. Tętno serca starego i chód miarowy zegara wyprzedały się, to mijały, jakby walczyły z sobą o pierwszeństwo; wreszcie zwyciężył flegmatyczny zegar i oddech ustał zupełnie...

W izbie słychać tylko było uderzenia miarowe zegara... Czasem mysz zaszeleści za piecem, to znów robak odezwie się wierceniem

w ścianie — i znowu to samo miarowe, jednostajne: tik, tak...

Bohomazy patrzą się ze ścian bezmyślnie... Ich twarze, zbliżone do siebie podobieństwem niepodobieństwa uśmiechają się głupowato to smucą podług tego, jak im kazał pędzlista, czy farbiarz.

W piekarni zaś kobieta skrobie ziemniaki, a myśli jej latają, Bóg wie, za czem... Twarz tylko zdradza tę podróż myśli, bo się rozjaśnia, to schmurza. Ot, i teraz — dwie łzy stoczyły się po gładkiem licu i padły na twarz chłopczyny, który zasnął na podołku matki... Hela gdzieś lata po polu, ani się nawinie do izby! Ot, jak zwykle dzieciska.

Nagle kobieta, tknięta jakąś myślą, osunęła leciuchno chłopca na ławę i wysunęła się do izdebki. Wchodząc, cicho otwierała drzwi, by starego nie zbudzić.

Podeszła bosą nogą do łóżka i nachyliła się nad twarzą spiącego... Długo stała i patrzała w milczeniu, a oczy jej rozszerzały się powoli, przerażeniem...

Stary spi, a oddechu nie słychać... Serce jej uderzyło gwałtownie. Wzięła ojca za rękę — ręka bezwładna, sztywna, jak drewno...

— O Jezu!... — wyszeptała kobieta i osunęła się na kolana przy łóżku. Jeszcze nie chciała wierzyć. Dłonią pomacała twarz starca — twarz

zimna, oczy przymknięte; tylko usta rozchylone, jak brama, którą ulatuje dusza z ostatniem tchnieniem.

— O Jezu!... — zajęczała głośniej, oparła twarz o krawędź i długo rzewnie płakała... Potem poczęła szeptać pacierz — za umarłych... Modlitwa uspokoiła ją. Podniosła się zwolna i chwiejnym krokiem przeszła do piekarni. Tu nikogo — tylko chłopczyna spi pod oknem na ławie, uśmiechnięty, jasny...

Stanęła chwilkę na środku izby, nie wiedząc na razie co robić. — Iść po ludzi nie można, bo daleko do chałup, a tu wieczór na ramieniu!... Zresztą — jakże tak chałupę odejść! Żeby choć Ignac przyszedł!... — i tym podobne myśli przebiegały jej po głowie...

Wreszcie namyśliła się krótko, fartuszkiem łzy otarła, które jej zaschły na licu i przeszła znów do izdebki... Tu otwarła skrzynię i poczęła wyciągać bieliznę i koszulę, „płócienki“ lniane i inne drobiazgi. Rzeczy te poukładała na ławce, podeszła ku łóżku i poczęła delikatnie ściągać łachmany starego... Czynność ta nie była łatwą, bo już trup drewniał... Pomogły jej zaś zręczność i poświęcenie...

W krótkim przeciągu czasu rozebrała nieboszczyka i ubrała w czystą bieliznę. Następnie przykryła go nowem prześcieradłem, złożyła ręce na piersi, wzięła ze stołu krzyżyk i włożyła

w dłonie umarłego. Po tej czynności klękła przy łóżku, odmówiła jeszcze krótką modlitwę, westchnęła ciężko, wstała — i przeszła do piekarni, do zajęć gospodarczych...

Zmierzchło się już zupełnie. Przy zorzy, padającej z okna, wypłukała ziemniaki i „wsuła“ do garnka. Miała się wziąść do zapalania, kiedy wszedł mąż...

— To jesce nie polis na wiecerzę?! e coześ ty u djabłów robiła?... — krzyknął groźnie od progu.

Kobieta drgnęła na te słowa.

— Nie godoj!... — odrzekła — Tatuś umarli... — i zapłakała głośno.

— Co? ociec umar? pados... Kaz lezy?... — spytał łagodniej.

— W izdebce...

— W izdebce?... e po coześ go tam zaniesła?!...

— Som posed... idź... zmów pocierz.

Chłop się poruszył. Kobieta jeszcze zwróciła się ku niemu.

— Ignac! nie bądź markotny!... Odziołach nieboscyka w twoją bieliznę...

— Co?!... — krzyknął głośno.

— Przecię trudno go było w łachmanach zostawić... — usprawiedliwiała się.

— A niech cie!... — niedokończył przekleństwa — gotuj prędko wiecerzę!...

Sam poszedł do izdebki... Ciemno było zupełne. Blada „zarza“ biła o szyby... Ignac otworzył szafę, wyjął świecę, zapalił i postawił ją na stole. Na łóżku zobaczył nieboszczyka... Światło świecy padało z boku na niego — i zdawało się, że spi — takim łagodnym wyrazem błyszczała pożółkła twarz.

Ignac rzucił się ku łachmanom i począł je gorączkowo przerzucać... Przetrząsnął wszyskie kieszenie, obmacał szwy; snać nie znalazł, czego szukał, bo się skrzywił i spojrzał na trupa...

— Musiołeś kasi inędy piniądze schować. Zol ci było dać synowi — rzekł z urąganiem i postąpił ku łóżku.

— A to wścieklina baba!... Nowiutką kosulę mu wdzioła. Cóz jo bedę mioł do kościoła?... Umarłemu co to wystarcy...

Z temi słowy wyciągnął rękę do trupa, wyjął krzyżyk z jego dłoni, rzucił na stół — następnie chwycił rękaw, by ściągnąć koszulę z ojca-nieboszczyka...

Dziwnym przypadkiem — dłoń swoją zaplątał między palce umarłego... I stała się straszna rzecz. Palce nieboszczyka zwarły się i objęły dłoń Ignaca żelaznemi kleszczami... Syn wydał okropny ryk z przerażenia i strachu — i padł bez duszy przy trupie ojca...

. . . .

Na trzeci dzień był jeden pogrzeb dla ojca i syna. Pochowano ich w jednej szerokiej trumnie... Ojciec nie puścił syna... Rozłączeni za życia — w mogile spali razem. I było im dobrze. Robactwo nie kłóciło się o ich ciała...

NA WYDANIU.

Chatka była pod lasem nieduża — gontem kryta. jak zwyczajnie chaty... W chacie mieszkał gazda niebogaty; przy nim żona i córunia Róża... Dziewczę miało lat szesnaście może, choć jej ludzie liczyli coś więcej — dość, że zrosła ponad wiek dziecięcy i, jak dziewka, umiała: żąć zboże, zbierać trawę dla bydląt w wyrębie, bielić latem na kamieńcu płótno... Była smukła i ładna „na gębie“, ale zawsze była jakąś smutną... Przecież znała cudną swą urodę — bo się nieraz zapatrzyła w wodę i czytała w tem zwierciedle jasnem o swych oczach i o licu krasnem... Czemuż jednak smutną była — czemu?... Ludzie po wsi mówią rozmaicie — każdy jednak sądzi „po swojemu“, a najwierniej opowiada życie . . . .

. . . .

Raz, pod wieczór, stary Wojciech powrócił z żoną z jarmarku. Rózia, w czasie ich nieobecności, napasła krowy, podoiła — i właśnie miała

się zabierać do „skrobania“ na wieczerzę, kiedy starzy weszli do izby...

— Niech bedzie pochwolony!...“

— Na wieki... Tak wos długo nie widać... — ucałowała rodziców w ręce.

— No, juześ nagotowała?...

— E, ka ta... telo roboty. To to, to owo się zrobio i tak dzień wnetki śleci... — usprawiedliwiała się Rózia.

Ojciec tymczasem wyciągał z rękawa „chazuki“ pokupione drobiazgi, jak: sól, łaty na kerpce ect. Kobieta zdejmowała wierzchnie spodnice i „katanki“ i wieszała je rzędem na „zyrdce“.

Rózia wrzuciła oskrobane ziemniaki do garnka, nakładła suchych drew na „nolepę“ i podpaliła chrustem... Płomień buchnął do góry i oświecił zczerniałe czeluście. Dym kłębił się koło poleni i okiennicą pchał się na strych lub schylał do niskich odrzwi, chyłkiem wychodząc do sieni. Drwa były suche, ogień się napalił spory, „wnetki“ też wieczerza była gotowa. Wszystko troje obsiedli miskę i spożywali „dor boski...“ Jedli jakiś czas w milczeniu, odmuchując gorące ziemniaki, gdy matka, spoglądając na córkę — odezwała się „niby od niechcenia“:

— Walek sie nos pytoł o cię na jarmaku...

Rózia spojrzała na matkę, zrozumiała dobrze to zagadnienie, nic jednak nie odrzekła... Myśl

tylko jakaś niemiła chwilką stanęła jej w umyśle, bo czoło nerwowo ściągnęło się fałdami, a oczy jaśniej zaświeciły...

— Przysed ku nom — hej!... wołoł nos na wino, ale sie nom spiesyło do chałupy... — mówiła dalej matka, oczekując od córki jakiego słowa. Ale Rózia milczała uparcie...

— Mówiół, ze tu zaźry kie do nos ze strykem i pogodo nieco jaśni... A ty co na to?... — spytała córki wprost, widząc, że ta jej nie słucha. — Przystałabyś na niego?...

— E, róbcie, jak chcecie!... — odpowiedziała niechętnie córka.

— Dyć nie ten, to ten, ale zawse kogosi przyjąć trzeba — odezwał się po chwili ojciec. — Jo juz robić nie zdolę, a tu zawdy trza cosi koło chałupy ździupierzyć[1]). Jak nie obrobis gruntu — to sie tyz ta i nicego nie spodziewoj!... Ho! Mocny Boze! zeby jo se doł rady, toby jo jesce o nikim nie myśloł. Dyć nom dobrze, pokiela-my sami... Przydzie zięć — to, wto wie, jaki bedzie!... Cy cie usłuchnie, abo co... Przeźrys to cłeka odrazu? No, ale cóz — kie cłek se juz nie poradzi. Gwołtem trzeba kogosi przyjąć!...

Tak sobie ojciec „labiedziół", a córka słuchała i żałość wielka ściskała jej serce... — Dyć

---

[1]) Ździupierzyć = zrobić coś koło chałupy.

prowda — ze wceśni, cy późni — musi wyjść za kogo... Od niej rodzice spodziewają się pociechy jakie na starość. Dyć robić ni mo kto — duchem by się zdało iść za mąz... Ale coz — kie ij rają syćkich, ino nie tego, kogoby ona chciała.

Wstali od wieczerzy i każde jęło się „jakiesi roboty...“ Kiedy już Rózia posprzątała po izbie, a rodzice mieli iść spać, ona ucałowała rękę matce i ojcu i odezwała się z prośbą w głosie:

— Kie juz tak koniecnie mom iść za kogo — to mie tyz dejcie za Jadzynego Wojtka... Mój tatusiu!...

— Hę? za Jadzynego Wojtka?... E coz se ty mos w głowie?... Przyniesie on mi co do chałupy — abo co?... U nich przecię bieda krocsetno, zeby siekierom nie ucion!... Ani mi o nim nie wspominoj!...

— Przecię i my ni momy wiela... — ośmieliła się zauważyć córka.

— Co? ni momy wiela?... To trza, zeby było więcy!... Jak przydzie zięć z piniądzmi — to pola dokupi i bedzie... A na coz jo cie chowoł, zebych z ciebie ni mioł zodnego skrzepienio na staroś!... O Wojtku ani myślij!...

— Hej! — potwierdziła żona.

— Nie tacy sie trafiają... — kończył ojciec. — Jak widzą ludzi porządnych, ućciwych, to sie

zewsąd garną!... Jantek od Majerza obiecowoł pięć stówek. A Walek pedzioł dziś na jarmaku, ze mu ociec do i siedem... A Wojtek coz mo? Ani stówki nie uzgarnuje!... Toby mi był zięć!...

— On pracowity — to sie dorobi... — broniła Rózia.

— Ho! dorobi sie ta, jak ni mo z cego!... Dyć i jo pracowoł przez tela lot, a coz mom?... To, co i przedtem... Podobo ci sie, ze na tworzy gładki. I gładkości niedługo moje dziecię. Przydzie niescęście, chorość — i juz po ni. Zreśtom i Walkowi nic nie brakuje!... Jest se chłop, jak sie patrzy.

— O, nie wybieroj Róziu!... — ozwała się matka. — Dobrze, ze mos z cego wybierać. Myślis, ze oni sie o ciebie dobijają?... Jakbyś gruntu ni miała, toby sie tu zoden nie obróciół!... To nie downe casy — kie patrzeli jesce na urodę. Dziś ladajaki trzop wyjdzie za chłopa, jak ino mo pole i chałupę. A ładne dziewki siedzą za piecem, ze ni mają piniędzy. Dziś ludzie ino na stówki patrzą.

— Wojtek sie ta zaś na grunt, ani na stówki nie oglądo!... — zaprzeczyła córka.

— Bo som nic ni mo!... — odparł ojciec. — Jakby mioł, toby ci sie nie zalecoł!...

— Zaś ta nie godojcie!...

— Ty nie godoj nic, ino słuchoj, jak ci ojcowie kazą! Ty nos nie przemądrzaj, bo my

dłuzy na świat patrzeli!... Przecię kazdy ociec z duse by rod jak nolepi lo swego dziecka... Ino słuchoj rodziców, nie swoje wóle, zebyś sie kiedy nie sparzyła! A padom ci naprzód, jak przydzie Walek ze strykem na nomowiny [1]) — zebyś nie pokazowała zodne niechęci!...

Rózia już nic się nie odezwała, nie chcąc przeciągać dłużej przykrej rozmowy. Rodzice też zabierali się do spoczynku. Więc i ona rozczesała długie, jasno-lniane włosy, związała je tasiemką i, zmówiwszy pacierz, weszła do łóżka...

Myśli przykre majaczyły jej po głowie. Chciała do snu myślą przywołać przed oczy Wojtusia — jakiś zły duch podstawiał jej przed wyobraźnią obrzękłą twarz Walka... Wreszcie bolesne jakieś uczucie wyparło łzy do ócz ze serca; owinęła głowę poduszką i szlochała długo... długo — aż sen-przyjaciel lekkiemi objął ją ramiony i ukołysał...

Na drugi dzień, ledwo wyszło słonko — Rózia zerwała się z posłania i, owinąwszy się białą chustką, wybiegła do wyrębu — na maliny... Zanim matka śniadanie zgotuje, ona nazbiera pełny dzbanek czerwonych jagód.

Ranek był prześliczny... Słonko ledwo wy-

---

[1]) Nomowiny = zrękowiny. Zwykle jakiś opiekun, stryk albo wuj przychodzi do domu dziewczyny z chłopcem, który chce się z nią żenić. Tu kładzie warunki, namawia — stąd „nomowiny“.

toczyło się kołem na szczyty pobliskich gór, jasno-różowe, a już zajrzało do wszystkich chałup, o wodę szumiącą potoków uderzyło promieniami i „skrzystaliło“ wszystkie krople, lecące z wysokich skał... Ranek był wspaniały.

Lasy rozodziewały się z lekkiej mgły nocnej i poczęły występować rozmaitymi kolorami drzew: buków jasnych, zielonych jodeł i czarnych smreków... Ciemniejsze smugi niższych ostępów łamią światło, jak fałdy podłużne na ciemno-zielonej sukni.

Ranek cudowny był... Równo-zieloną trawą jaśnieją aksamitnie polany, odbijając żywo od ciemnego tła wyrębów... Baca też brudny wychylił okopconą twarz z niskiej koleby, pozierając ciekawie ku wyrębom, „ka tyz ta owcorze pasą — haj!...“ Owcarzy nie dojrzał — musieli dalej pognać... Ale dojrzał dwie sarny, pasące się „na skraju“ swobodnie, i dojrzał jeszcze kudłaty ogon lisa, który „milckem zemknął w krzoki...“

Baca wyszedł przed kolebę, „ciby [1]) tyz jako ka jesce owiecek nie doźreć...“ Ale wyręby puste, jak okiem sięgnąć — jeno ponad „wiersyckem“ kołuje poważnie „oreł królewski — haj!...“

---

[1]) Ciby — wymawia się bez miękczenia.

Potokiem woda chuczy, spadając pianą po śliskich skałach, a pod jazami[1]) na bajorach srebrnołuskie pstrągi rzucają się błyskawicznie-szybko, kreśląc raz po razu ogniste smugi po powierzchni...

Ponad potok ścieżka wąska prowadzi ku wyrębom... Ścieżyną, w śmiałych i swobodnych podrygach, kroczy dziewczę lnianowłose. Białą chustkę przez ramię rzuciło — lekki podmuch igra z nią po powietrzu, to jasne włosy podrzuca i rozplata; a dziewczyna, z dzbankiem w ręce, stąpa lekko, ledwo ziemi dotykając palcami... A co się nad wodą nachyli, to widać w zwierciedle boginkę leśną o jasnych kosach, białej szacie i smukłej kibici. Woda, figlarne lustro — odzwierciedla prawdę.

Las już był blisko. Dopadła kładki, powietrzem, zwinnie, jak kozica dzika, przebiegła po niej i zagłębiła się w leśnej ścieżynie... Ktoby patrzył, toby mu się zdało, że widziadło zobaczył senne, które rzeczywistość lasu rozwiała mu z przed oczu...

Niebawem po drzewach płynął, szeleściał i leciał dalej dźwięczny głos piosenki, którą liście liściom wiernie powtarzały:

---

[1]) Jaz = pomost rzucony na wodę z całych, wykarczowanych drzew. Pod jazem zwykle głębia wody, „bajorem“ zwana.

Nie dała mi matuleńka
Za próg wyzierać —
Ale miski myć kazała,
Garnki wycierać...
Hej! garnki wycierać...

Moja matuś — moja droga,
Robić nie kazuj!
Na Halusię — na rącusie
Przecię uwazuj...
Hej! przecię uwazuj...

Ostatnie słowa dwa razy obiły się o przeciwległą górę — i nim jeszcze echem zdołały powrócić napowrót — już nowe zadźwięczały zgłoski:

Uzaliła się mateńka
Rącek Haliny:
Włóz wianusek — weź dzbanusek,
Idź na maliny!
Hej! idź na maliny...

Dziewczyna wybiegła z lasu i szła dalej polaną ku wyrębom, kończąc zaczętą piosenkę:

Niedalecko poza borem
Hej!... poza sosną —
Duze krzaki, maliniaki —
Maliny rosną...
Hej!... maliny rosną...

Poskoczyła szybciej, widząc juz z daleka krzaki, obwieszone czerwonemi jagodami. Zmęczona, ciszej już nieco, zanuciła ostatnią zwrotkę:

Córuś moja! przynieś malin
Pełny dzbanusek —
Ino musis uwazować
Na swój wianusek!...
Hej!... na swój wianusek!

Chyżo rzuciła się ku maliniakom, obrywając paluszkami kraśne jagody i rzucając po garści do dzbana...

Wnet napełniła malinami naczynie; z okopistej pełni staczały się jagody na ziemię... Odetchnęła chwilę, usiadłszy na spróchniałej kłodzie. Patrzała na dół, gdzie potok huczał wartki — i myśli jej chyżo płynęły, jak rwąca fala potoku. Patrzała w las przeciwległy — i głębokie cienie starych jodeł i buków przytrzymywały jej oko, w którem, jak w lesie, głębia smutku się rozścieliła... Patrzała na te posępne piękna czarownego widnokręgu, który szczytami gór z niebem się zlewa — i dziwnie rozkoszne uczucie, mieszane smutkiem duszy, rozpierało jej piersi, falując za lekką przeźroczą cienkiej koszulki... Usta się rozchyliły, jak dwie blisko siebie wiszące na krzaczku maliny...

W chwilach podobnie czarownych — dzieci ludu słów boją się użyć na wyrażenie swego podziwu dla piękna, które czują... Wówczas pieśnią się posługują, jako mową wyższą, niecodzienną...

A pieśń ta zwykle łączy w sobie i hymn dla

piękna natury i własne uczucie śpiewaka, zestawione w prostem, a rzewnem porównaniu.

Dziewczyna siedząca na kłodzie patrzała na piękno, czuła je w duszy, a własny jej smutek przyjaźnił się z posępnymi kolorami otoczenia... Myśli nuciły jakieś dla jej serca dosłyszalne tylko melodye, które urywanemi, tęsknemi zwrotkami popłynęły dźwięcznym głosem ku liściom, wiszącym nad jej głową:

Bukowe listecki zwiesiły się w dole —
Pozierają smutnie na moją niedolę...
Oj! na moją niedolę...

Wietrzycek liściami po konarach suści —
Załoś, moja załoś juz mie nie opuści...
Oj! juz mie nie opuści...

Dziewicza skarga leciała po drzewach na równiane łęgi i topiła się w szumie potoku...

— Oj, trza wracać... — szepnęła, otrząsnąwszy się z dumań. I pochwyciwszy dzbanuszek, zbiegła wartko na polanę i swobodnie, jak sarna leśna, stąpała wydeptanym chodnikiem wśród trawy „suscącej“ i karłowatych jałowców... Na pożegnanie miłej polanie zaśpiewała jeszcze znaną piosenkę:

Ej... jak se jo zaśpiewom na środku polany —
Ej — to mi sie odezwią w kościele organy!...

A echo niosło czystą melodyę i grało wysokimi tonami organowymi po bukowym lesie... Schodząc już „ku potokowi“, dziewczyna zanuciła jeszcze:

Zebych jo wiedziała, kany mój jedyny —
Zaniesłaby jo mu słodziutkie maliny...

Nagle z przeciwnej strony potoka ozwał się na odpowiedź silny, męski głos:

Słodziutkie maliny — słodse twe ustecka...
Przynieś-ze mi przynieś — moja kochanecka!...

Dziewczyna roześmiała się na głos i przebiegła szybko po kładce na drugą stronę... Przed nią stał, z kosą na ramieniu, dorodny chłopak, o smagławej twarzy i czarnych oczach, jak głębia potoku.

Patrzeli oboje na siebie, uśmiechając się mile...

— Byłaś na maliny?... — spytał chłopak.

— Ehę!... — a ty dokąd?...

— Na polanę — kosić...

— Naści malin... — i chciała usypać mu ze dzbanka.

— Bóg zapłać!... Zanieś matusi. Jo idę w las — to se uzbierom...

— Biedzies to mioł cas, kiedy siecenie?... [1])

---

[1]) Siecenie = kośba.

— Choćby przed południem — to skocę do wrębu...

Milczeli oboje chwilę i patrzeli na siebie z uśmiechem.

— Dawnoch cie nie widzioł!... — ozwał się chłopak.

— Edyć tak Wojtuś!... Nie pozwolają sie mi nika rusyć z chałupy... Boją sie o mnie — cy co... Źreśtą powiedziałabych ci cosi...

— No?... powiedz...

— Kie cie sie boję ozmarkocić...[1]) — i wesoła dotąd jej twarzyczka powlokła się smutkiem.

— Powiedz!... Róziu... — prosił chłopak, ujmując ją za rękę.

— Dyć ci powiem. Ojcowie wcora przyśli z jarmarku i zacęli mi raić Walka — wies, tego od Grzędy... Pedzieli, ze mo przyść ze strykem na nomowiny.

— No — a tyś co na to?...

— Prosiłach tatusia, zeby ciebie przyjęli...

— A ociec?...

— Nie doł se ani w myśli przytykać!... Pedzioł tatuś, ze ni mos nic, to cie nigdy nie przyjmą za zięcia... — i rozpłakała się dziewczyna tak rzewnie, boleśnie, że aż Wojtkowi łzy się zakręciły w oczach.

— Dyć nie płac... — rzekł, obejmując ją

[1]) Ozmarkocić = zasmucić (z czyjej winy).

lekko w pół. — Nie tak znowu straśnie, jak ci sie zdaje. Ociec sie do udobruchać... Mnie przecię ni mo nic do zarzucenio!...

— Coz, kie tatuś patrzą na bogatego zięcia... — mówiło dziewczę przez łzy.

— Ha! Mocny Boze! — zawołał chłopak. — Coz jo temu winien, ze ni mom gruntu?... Dyć przecię pracuję.

— Coz poradzis, kie tako wólo ojca... — smutnie, wątpiąco zagadnęła Rózia.

— Co?! — zakrzyknął silnie chłopak. — Pudę ka na zorobek... Przecię świat syroki! Za pół roku, za rok zdolę zarobić telo, co twój tatuś chcą. Wtedy przecię nie odmówią mi ciebie!... A ty Róziu bedzies cekać na mnie?...

— Bedę!... — odpowiedziało silnie dziewczę.

— A jakby ci sie trafiół kto lepsy?... — spytał z drżeniem w głosie.

— Lepsy mi sie nie trafi... a choćby był bogatsy — to i coz tego? Bogactwa nie potrzebuję. Za ciebie pudę — za nikogo węcy!...

— Jo o tobie i we świecie nie zapomnę! — zawołał chłopak z uczuciem.

— Nie zapomnij... — szepnęło dziewczę i przytuliło się do niego.

Ucałowali się serdecznie, aż im ptaki odezwały się w gęstwinie...

— Uźrę cie jesce przed odjazdem? — spytało dziewczę na odchodnem.

— Przydę do ciebie za potok, ka siano grabicie.

— Przydź!...

I szybko pomknęła łęgiem ku chacie, bo też już i słonko podniosło się wysoko. Matusia śniadanie pewno już dawno zgotowała!...

Wojtuś oglądnął się jeszcze parę razy za nią, idąc na polanę, gdzie szereg kosiarzy uginał się regularnie nad równą, suchą trawą...

. . . .

Nastał wieczór... Lasy utonęły w mroku ciemnym, potok owinął się „srezogą...“ [1]). Kosiarze wracali z lasu, a pasterze spędzali woły, odzywając się po lesie rozmaitymi głosami — to krzykiem spragnionej wiecznie kani, to stłumionem „holokaniem“ leśnych puchaczy... Mrok wyganiał ludzi z polan — od sianograbia... Wszystko ciągło roztoką ku wsi — do chałup...

I w pustej za dnia chacie pod lasem ożywiło się wieczorem. Rózia i ojcowie wrócili z polany, by się wieczerzą pokrzepić, snem odpocząć i nabrać sił do jutrzejszej roboty... Tak bywa codzień... Ludzie tylko myślą, co na jutro, na pojutrze... Do przeszłości któżby się zwracał?

Ludzie biedni tylko w przyszłość patrzą; bieda im każe naprzód oczy obracać, z czego

---

[1]) Srezoga = lekka mgła.

żyć, w co się odziać jutro, pojutrze — i tam dalej... Ludzie zabezpieczeni od myślenia o swoim bycie łatwiej mogą myślami w przeszłości postać i łatwiej tracić czas na przeżuwaniu wspomnień, albo żyć tylko wrażeniami teraźniejszości.

I w chatce pod lasem o przeszłości nie było co myśleć. Była ona taka, jak i teraźniejszość, a może ciemniejsza. Z przyszłości żąda się zawsze światła, rozjaśnienia mizernego życia... Czy to już jest w naturze, żeby za ciemniami światła się dopatrywać?...

Ledwo ludzie weszli do chałupy — a zaludniła się izba i gospodarczą krzątaniną zapełniła małą swą przestrzeń... Łuczywo zabłysło na nalepie i przycienionem światłem strzeliło na izbę... Ojciec począł ciupać cotynę[1]) na podściółkę pod bydło. Rózia z matką siadły do „skrobania“ ziemniaków — gdy się drzwi otwarły i na progu ukazał się suchy, wysoki człeczyna w podeszłym wieku. Za nim jakiś cień drugi w sieni zamajaczył.

— Niech bedzie pochwolony!... — ozwał się przybyły piskliwie syczącym głosem.

— Na wieki!... — odpowiedział gazda i uchylił gnat ze środka izby, na którym ciupał cetynę.

---

[1]) Cotyna = cetyna, gałęzie drzew szpilkowych.

— Podźciez haw kumie dalij — siądźcie!... — zapraszał przychodnia.

— Edyć moiściewy, przeprosom piknie — ciągnął sycząco gość — bo jo tu nie som. Jes nos tu więcy... Hej!...

— Je ktoz ta taki z wami?... — zapytała mile gospodyni, odwracając głowę ku drzwiom. Przybyły posunął się naprzód, a „wte razy“ wszedł za nim młody, barczysty chłop o twarzy okrągłej, wygolonej i nabrzękłej nieco. Szybko posunął do gazdy i „gaździne“ i obłapił ich za kolana. Rózia niechętnie wyciągnęła rękę na powitanie.

— Jakze sie mos Waluś?... – powitała go radośnie gaździna.

— E tak ta — chwała Bogu... — odpowiedział i usiadł na niskiej ławie.

Chwilkę miczeli wszyscy, czekając, które najpierw zacznie. Goście chrząkali, to pozierali na siebie — wreszcie powstał stary i począł uroczyście:

— Wiadomo wam, zacni kumotrowie, poco my przyszli... Na jarmaku Walek wspominoł. Prowda? — zwrócił się do siedzącego.

— Prowda!... stryku — odrzekł tenże.

— Zatem rzeksy, jak przystoi — syczał cienko kum, „strykem“ nazwany — przystępuję prosto do oracyje, coby syćko odrazu wyjośnić...

Rózia, dorozumiewając się o co chodzi, znalazła jakiś pilny interes i wybiegła do izdebki [1]).

„Stryk“ wyciągnął tymczasem „graniatówkę“ z rękawa, z kieszeni „serdocka“ wyjął kieliszek — i przypił czerwonym płynem do gospodarza, który siadł naprzeciw na „gnocie“.

— Na zdrowie!... kumie...

— Dej wom Boze — jak nodłuzy!

Kolejka przeszła szybko.

— Kasi [2]) sie Rózia podziała... — zauważył Walek. — Zawołojciez je matusiu, niech sie z nami napije.

— Róziu!... — podniosła głos matka — pódź-ino!...

Ale Rózia nie „usłuchła“ tą razą.

— Otoć tak moi kochani — ciągnął pompatycznie „stryk“ — jak sie wom nie widzi markotno, to przyjmijcie Walka do chałupy... Przystępuję prosto, bo casu ni ma na długie godania. A zreśtom i krótko to samo sie powie, coby tyz i nodłuzy godoł. Dyć Walka znocie — wiecie, ze je przecię pracowity, nie lumpok zoden, to sie go nie obowiojcie!... Gołego nie

---

[1]) Izdebka = świetlica. Dom składa się zazwyczaj z dwóch izb: jedna — piekarnia, druga — izdebka, gdzie ściany obwieszone obrazami, i zazwyczaj wapnem bielone. W biedniejszych domach jest tylko piekarnia.

[2]) Kasi = gdziesi, ka = gdzie (na Podkarpaciu), kany = gdzie, dokąd.

przyjmiecie, bo bedzie mioł siedem stówek cystych, a przyodziewku i norzędzi gospodarskich tyz mu nie zabraknie... W zostępstwie ojca wom to orenduję i ufom, ze przecię łozwozycie se w głowie i odpowiecie jako przychylnie...

Tu skończył i spojrzał pytająco po obojgu. Walek też, szturknięty łokciem przez stryka, skoczył do kolan ojca i matki.

— Dyć mie tyz przyjmijcie tatusiu — i wy matuś...

Ojcowie zdawali się namyślać, choć oboje mieli odpowiedź na końcu języka. Po chwili, niby po długiej rozwadze, odezwał się na to ojciec:

— E dy my tu juz myśleli... Bo zięcia końcem przyjąć trzeba. Ale to tak człek — zycanie wiecie — i pobowio sie trochę i uwazuje, coby sie tyz nie sparzół... Walkowi — nic nie powiem — chłopok odpowiedni. Ale mi sie to mało widzi — ino siedem sto...

Tu znów powstał „stryk“ i począł się rozwodzić: że „nikt im więcy nie przyniesie, — ze przecię siedem sto — to piniądz nie ladajaki“ — i długą, a dosadną mową uspokoił nieco oponującego niby ojca. Matka przytem zachowywała się biernie, a o Rózię nikt się nie spytał, jakby tu chodziło nie o jej wolność osobistą, nie o nią samą... Targowali się o nią, jakby o jakie „nieprzymierzając“ bydlę, którego się wła-

ściciel o zdanie nie pyta — czy chce być sprzedanem lub nie...

Gadali jeszcze długo na ten temat — rozwodzili się o gospodarstwie, o chudobie, o przychowku, aż wreszcie, ogadawszy całą sprawę ze wszystkich możliwych stron, poczęli się goście żegnać.

Walek „obłapiół“ [1]) szerokim kapeluszem parę razy tatusia i matusię na pożegnanie i wyszedł za „strykem“, który „Ostańcie z Bogiem!“ rzucił sycząco jeszcze ze sieni... I tak się skończyły „nomowiny“.

Tych „nomowin“ było jeszcze parę; bo Rózia ani wspominać sobie o Walku nie dała. Zawsze bierna, posłuszna — teraz w przeświadczeniu, że to idzie o jej los — nie hardo, ale stanowczo odpowiadała rodzicom, że za Walka „nie pudzie“.

Widząc ojcowie, że nie złamią jej uporu, przestali ją namawiać.

Za to w parę niedziel później zjawił się nowy konkurent, ale ten, widząc niechęć ze strony Rózi — sam się usunął...

Podobał się wielom skrawek gruntu, który miał Rózi przypaść, ale jej opryskliwość dla

---

[1]) Obłapić = obejmować za kolana. Dawny zwyczaj powitań i żegnań młodych, gdy schylając się do kolan starszych, okazują im swe poważanie. Dziś ten zwyczaj zatraca się.

każdego, odstraszały ich i z czasem przestali o niej myśleć... „Przecię tela dziewcąt po wsi... Hej!... a i gruntów nie brakuje, byle ino stówki były. A jakoz!...“

Wojtuś zniknął... Wszyscy stracili o nim słuch; listów nikt od niego nie odbierał. „Kazby przysły z telego dola — kie on kasi jaze za morze pojechoł!...“ — mówili ludzie.

A Rózia czekała cierpliwie. Rok jeden minął i drugi się zaczął — a jego nie widać... „Pedzioł, ze przyjedzie, jak ino stówki zarobi...“

Coraz częściej zachodziła nad potok... Coraz częściej i rzewniej nuciła:

Wietrzycek liściami po konarach suści —
Załoś moja załoś juz mie nie opuści...

Ojciec pochylił się ku ziemi ze zgryzoty. Twarz matczyna jeszcze więcej pokrajała się bruzdami — a Rózia pracowała za matkę i za siebie. Chwilami tylko wolnemi biegła nad potok i patrzała w wodę — długo... co jej też fale wywróżą?...

Minął rok drugi — i trzeci się zaczął, a Rózia ciągle była „na wydaniu...“

„Z Ł Y“.

W kościółku wiejskim w Kulkoszowy suma się skończyła. Organista zaintonował „Przyjdź Duchu św.“ i ksiądz pleban ukazał się na ambonie... Cisza zaległa w kościele — ksiądz, przeżegnawszy zgromadzonych, począł czytać monotonnym głosem ewangelią. Po skończeniu tejże, zamknął książkę, odłożył na bok i chwilę stał w milczeniu, pozierając po zgromadzonych „owieczkach“...

— Słyszeliście — zaczął, dobitnie wygłaszając każdą zgłoskę — słyszeliście bracia o tym strasznym wypadku!...

Ludzie przestali kaszleć. Wszystkie twarze zwróciły się ku ambonie... Dalej stojący pootwierali usta, by lepiej chwytać słowa kaznodziei.

— Opuścisz matkę i ojca i pójdziesz za nim!... — leciały słowa z ambony. — Tak wyraźnie rzekł Pan... Niewiasta, która nie dochowa wiary mężowi, przeklęta będzie za życia jeszcze!... Szatan jej mężem będzie, bo ona jego małżonką

się staje, kiedy mąż do niej prawo traci... Słyszeliście, bracia, o tym wypadku strasznym...

Dreszcz przebiegł po zgromadzonych.

— Żona Jakóba Osiki zniknęła w dniach tych z własnego domu. Przepadła na wieki!... Życie jej niech będzie dla was przykładem odstraszającym!... Nie dochowała wiary mężowi swemu i Pan Bóg podał ją w szpony złego ducha... W piekle się palić będzie ogniem niewygasłym!... Szatani będą dniem i nocą lać smołę rozpaloną na jej piersi, wzdęte grzeszną chucią cielesną!... Przebaczenia! wołajcie niewierne żony, sprośne córki! by was ta straszna kara nie dosięgła!... — Tu silnie pięścią zaargumentował na ambonie swoje słowa, aż echo zajęczało w chórze...

Baby podniosły krzyk. Jęk powstał nieopisany, a pleban stał napawając się wrażeniem, jakie wywarły jego obrazowe słowa... Wielu podniosło lękliwe oczy ku sklepieniu, w przekonaniu, że dojrzą uosobioną w jakiejś nieokreślonej postaci zapowiedzianą karę...

Gdy płacz ucichł, kapłan ciągnął dalej zaczęte groźby i piorunował, posługując się tłustą pięścią, przez całą godzinę.

— Żebyście wy wiedzieli — mówił — jak srodze męczycie sprośnymi grzechami Pana Boga, toby wam punkt centralny żalu pęknął!...

Wreszcie „kozanie“ się skończyło. Ludzie poczęli wychodzić ciżbą z kościoła. Przed kościo-

łem i dalej koło szynków, dzielili się na gromadki, żywo rozprawiając o czemś tajemniczo-strasznem, jak to ich miny wylękłe i przerażone oczy wskazywały...

Najwięcej jednak ludzi otoczyło organistę, który z wyrazistą gestykulacyą opowiadał obrazowo jakieś zdarzenie. Lud z pootwieranemi usty patrzał w niego, jak w kaznodzieję.

On, który w swoim własnym interesie wiedział o każdym wypadku na wsi, a często był doradcą w sprawach, szczególnie spornych lub zatargach familijnych; znał ten lud na wylot, wiedział gdzie, po co, do kogo się udać, on też był drugą we wsi powagą po księdzu plebanie.

Teraz ludzie, prawie wszyscy znajomi, otoczyli go kołem, a on im opowiadał przyciszonym głosem:

— He, Jakóbową znaliście wszyscy. Wyszła za tego niedołęgę, bo jej ojcowie kazali... Miał grunt — ta co nie było iść. He, ale to człek nie tak łatwo przywyknie, jak nima ochoty, sami wicie...

— Oj, tak, tak... — potwierdziła najbliżej stojąca młoda kobieta.

— Jakób dobry gazda, he, bo go znacie wszyscy... Ale cóż z dobroci, kiedy innych przyjemności nie posiada. Jakóbowa szukała rozrywki. He, cóżby nie szukała!... Jakób głupi, bo cóż powiecie? Miał babę w chałupie, to za chałupom o nią nie dboł.

— Hej!... — potwierdziła gromada.

— Poszła wom ona kiedy do kościoła? coby!... W karczmie je było pełno i przy muzyce. Młodzi patrzeli ij w oczy, taj szaleli, bo było za czem!

— E zaśta — zaprzeczyła zazdrosna, młoda wdówka.

— He, nie powiecie, nie... — ciągnął dalej pan organista. — Ni można znowu pedzieć, żeby ij co brakowało... Wiedziała, że była ładno, to i bałamuciła...

— Mój Jantuś ni moze se miejsca znaleść... Tak go ocarowała ścieklina!... — zawołała podeszła kobieta, krzywiąc gniewem pomarszczoną twarz.

— He, widzicie, widzicie... — mówił organista — Ino nie wyklinajcie. Ona i tak na boskim sądzie... Skończyło się ij panowanie, skończyło... Zasłyszeliście o tem, co kiesi zaszło, ale nie o wszystkiem! he, nie o wszystkiem.

Ludzie skupili się jeszcze bliżej — pootwierali usta... Pan organista tajemniczo prawił:

— He, jakem chodził po lnie [1]), tom koło chałupy Jakóbowej spotkał żyda; tak wom patrzył z pod oka nie swojsko, że mnie aż dreszcz przeszedł po ciele. He, myślę sobie: cosi niedo-

---

[1]) Chodzić „po lnie“ = chodzić za lnem po wsi. Coroczna petycya organisty.

brze... No i widzicie, dwa dni potem, co zaszło...

— Podobno Jakób był wtedy w chałupie?... — spytała wdowa.

— A był. Właśnie miało się ku wieczorowi... Baba wróciła z miasta, z jarmarku — i, zmordowana drogą, legła sobie w izdebce; a Jakób siedział w piekarni. Medytował sobie i rozważał swoją dolę, a markotno mu się robiło, jak ino wspomniał na żonę. Widział oczywiście, że go oszukuje... „E, zeby ją juz raz djabli wzięni!...“ — pedzioł se naostatku. No i widzicie „zły“ niedługo kazał czekać na siebie. Bo jak ino to pedziół — tak nagle drzwi „cosi“ otwarło ze sieni i wlazło do izdebki... Jakób się zląkł, bo przecię drzwi zamknął — „ktozby je z pola otworzył...“ Wzdrygnął się czegosi i bał się iść do izdebki. Poprawił ognia na „nolepie“, nałożył fajkę i ledwo zaczął kurzyć — kie, jak wom nagle zadźwięczą okna, jak wom dach pocznie trzeszczeć!... Zdawało się Jakóbowi, że się chałupa zwali... Drzwi pootwierało na oścież i wyło tak, że niech ręka bosko broni!... Jakób się przeżegnał, upadł na kolana i skoro trzy „Zdrowaś“ odmówił — wszystko ustało. Poziera się potem — a tu drzwi zamknięte, wszędy cichutko. Wziął „ślajze“ [1]), poszedł do

[1]) Ślajze = łuczywo (niem. Schleise).

izdebki, a nogi mu się trzęsły, jakby we febrze... W izdebce nie zastał nikogo: ani baby, ani żywe dusze — ino na stole leżały szkaplerze i cała pięćdziesiątka...

Tu przestał i spojrzał po ludziach, którzy stali zasłuchani; w oczach każdego lęk się malował nieopisany...

— He, moiściewy — kończył — szkaplerze zostawił, bo to świętości „zły“ się nie dotknie... I pięćdziesiątkę wicie zostawił za nią chłopu. Drożej kupił, jak żydzi Poniezusa. Żeby choć stówkę — ale on wiedział, że więcej nie warta...

Skończył i śledził okropne wrażenie, jakie na słuchających uczynił opowiadaniem swojem.

— Jo se tyz myślę — podjął niski chłopina — cemu to tak kiesi jęcało, jaze strach... A to wicie...

— Po lesie to wykrocało jedle i gnało kasi ku północy... — objaśniał stary leśny.

— A moja baba, to ogień widziała w powietrzu — dorzucił jakiś gazda. — Jędrek zaś od Cieśle to słysoł na włosne usy, jak cosi krzycało tak straśliwie, ze go jaz ciarki przechodziły po skórze...

— He, widzicie, widzicie... — potakiwał organista.

— Jo zaś — podjęła nieśmiało jakaś kobiecina — widziałach niedowno koło wiecora, jak pon jakiś sed ku Jakóbowy chałupie. Zdawało

mi sie, ze to nas pon ze dwora, ale se' myślę: cozby on tu teroz chcioł o ty porze?... Zaroz mie cosi pikło — przyblizyłach sie ku niemu, pochwaliłach Boga, ale on sie odwróciół tworzom — i nic nie odpedzioł... A tu, jakze mioł odpedzieć, kie to musioł być „zły"... Strach mnie wzion i zawróciłach odrazu; skoda ino, zech mu na nogi nie poźrała — musioł mieć kopyta...

— He, „on" się umie przebierać w cudzą postać... — zauważył organista. — Słyszeliście przecię, jak ksiądz gadał... A słuchojcie-no Marcinowo, to „on" był po pańsku ubrany?...

— Ano — tyz godom, ze był cołkem do pana ze dwora podobny!...

— Panowie po ciemku syscy jednako wyglądają... — oświadczył jakiś gazda.

— No, nie stójmyż tak — zauważył organista — bo ksiądz wyjdzie z kościoła i nagada nam, co się zmieści... Lepij chodźmy do Ziśla!...

I cała gromada z organistą na czele ruszyła do sklepu, gdzie obok korzennych towarów był wyszynk trunków i osobne, zabrudzone stancye dla gości. Nade drzwiami widniał już z daleka czarno-żółty szyld: „Aaron Süssel" obok „Wyszynk rużnych trónkóf".

Kiedy już wchodzili do drzwi, Marcinowa szarpnęła organistę za surdut, wskazując na pijanego chłopa, który się taczał koło ławek:

— Ciewy, edy-to Jakób...

Organista spojrzał na pijanego i szybko odwrócił twarz, przechodząc do szynkownej izby... A pijany Jakób, o głupowatym wyrazie twarzy, krzyczał na całe gardło:

Jak baba ladaco — to i djabli potem!...
Kie ci sie udała — to ij zapłoć złotem!...

Posunął się jeszcze ku „szynkfasowi“, wyjął drżącą ręką pieniądze ze zanadrza i, nie licząc, sypnął na stół. Żydówka nalała kieliszek „mocnej“ — wychylił, rękawem otarł usta i, trzymając się ściany, zmierzał ku drzwiom... W progu upadł — zgramolił się znowu i wyszedł, utykając i kreśląc najrozmaitsze figury po drodze... Z daleka jeszcze słychać było chrapliwy śpiew:

Zjedz-ze kopę djabłów, kiedyś mie nie chciała!...
Jo sie juz ozyniół — tyś sie nie wydała!...

Ludzie patrzeli z przerażeniem na niego i odsuwali się, omijając z daleka.

. . . .

W alkierzu żyd zakonny siedzi — o takiem poważnem obliczu, jak biblijne postacie. Na pierwszy rzut oka — ta regularna twarz i długa, siwa broda przyjemne czyniły wrażenie, a nawet uszanowanie nakazywały swoją powagą. Ale ktoby mu w oczy głębiej spojrzał — to na samem dnie zwierciadła duszy dopatrzyłby się

szkaradnych namiętności... Chciwość i chytrość wychylały się przed innemi naprzód.

Siedział — i przeliczał pieniądze, odkładając srebro na kupki, a banknoty chowając w książkę zabrudzoną...

Kiedy głośniejszy gwar doleciał go z przyległej szynkowni i przerwał mu rachunek — on krzywił się i podnosił głowę, a twarz, w spokoju regularna, przyjmowała teraz wyraz szpetny. Uśmiech zaciekłości i pogardy igrał mu na ustach.

— Hm, goje głupie... — mruczał do siebie — plebana słuchają i organisty... Jakóbową porwał „zły"?... Niech bedzie zły. On i tak niedobry, bo mi nie zapłacił tela, ile obiecał... A ona bedzie panią — do czasu... Co mi to szkodzi?... — i liczył dalej pieniądze.

— Jehowa podał w ręce Izraela lud ten pogański i głupi, a kapłani jego pomagają Izraelowi ogłupiać go... Jesteś mądry — o Adonaj!...

Schował pieniądze do szufladki — i wyszedł do szynkowni bawić gości i słuchać opowiadania o „złym"...

NA ZAROBEK.

Ludzie po sumie wyszli z kościoła i rozprószyli się po rynku, gromadząc się tu i owdzie w większe gromadki... Niech naprzykład dwoje ludzi stanie i pocznie gawędzić — zaraz podchodzi trzeci i czwarty, a każdy rad się przysłuchać „co tyz ta mówią“. Już to ciekawość ludu leży w jego naturze.

Ot i teraz gromadkę młodych parobczaków, którzy żywo o czemś rozprawiają, otoczyli kołem starsi gazdowie, to kobiety, a każde uszu nadstawia, to „oździawia gębę“, by przecie co zarwać z ogólnej rozmowy.

— O cemze to tak rozprawiają moiściewy? — pyta jakaś stara kobieta, która co dopiero nadeszła, stojącej obok kumoszki.

— O swoim wyjeździe moi kochani, hej!...

— To sie syscy zabierają na ten zorobek... a ktoz tu we wsi ostanie?...

— No, pytojciez sie ich ta! kie przecie we świecie zarobią, a tu bieda krocsetno. Nawet

na sól nie wystarcy, a niestoboze [1]) na zycie i przyodziewek...

— Dyć prowda... — potwierdziła kumoszka.

A tymczasem w pośrodku zgromadzonych dorodny parobczak rozpowiadał szeroko, jak on to słyszał od Kuby Grzesiaka, który był w Peszcie, jak tam dobrze płacą za robotę, jakie tam życie wygodne itp.

— Tam ino sperka, a światły chleb.

Paru gazdów obliznęło się. Świątły chleb — to u nich coś szczególnie apetycznego. Przyzwyczajeni do owsianego placka, jak kupią „kukiełkę" na jarmarku, gdy im zbędzie centów od niezbędnych wydatków — toż to w chałupie uciecha!

— I kiez sie naprowdę zabierocie?.... - spytał gazda stary mówiącego parobka.

— Kieby jak noprędzy! Choćby pojutrze...— odpowiedziało paru. — Dyć wiesna nadchodzi, trza zarobić co do chałupy...

— A duzo wos jedzie?

— Ho! sporo. Jasiek od Grzędy, Wojtek od Cieśle, Jędrek od Porębskich. Nazbiero sie nos z pięćdziesięciu.

— Edyć i z Hameryki pisą nasi — podjął drugi gazda - ze sie im ta nie źle powodzi. Zarobiają po dwa dulory na dzień.

---

[1]) Niestoboze = nie to Boże (nie dopiero).

— A kieloz to w dulorze? — spytała ciekawie jakaś kobieta.

— Bedzie z półtrzecia reńskiego... – objaśniał gazda.

— Oj rety! To jaze telo!... — dziwowała się kobiecina.

Na uboczu stało parę dziewcząt, poglądając smutnie na odjeżdżających. Niejedna myślała o „swoim, cy tyz wnetki wróci, cy o niej nie zabocy. Godają, ze w Peszcie niemało dziewek — to i łocwo mogą ij odbić chłopca...“

Długo jeszcze rozprawiała gromadka; wreszcie poczęli się rozchodzić ludziska, to na nieszpór, to do chałupy. „Ot zycanie“ — każdy w swoją stronę. Rynek się opróżnił, tylko jeszcze pod wieczór paru pijaków szukało drogi po omacku, albo Izaak jaki starozakonny przesunął się, spacerując powoli w swoim długim półjedwabnym chałacie...

Minęło parę dni. Pochmurno było na niebie i na ziemi, dżdżysto i posępno, jak „zycanie przed wiesną...“

Śnieg, ledwo się stopił na kamienistej powierzchni, a już, dysząc mną, występowała szara, mokra ziemia, deszczem i trudem chłopa urobiona z rozsypanych kamieni — sam rozsypujący się piaskowiec, zmuszony wilgocią coroczną i mozolną uprawą wydawać karmę jałową dla chłopa.

Zaorane wertepy skalne, dawniej pastwiska —

świecą drobnymi kamieniami, między którymi gdzieniegdzie tylko ziemia się przesypuje. Jałowa gleba — jałowy owoc wydaje; jałowe też życie górala.

Wioska cała doliną spływającej roztoki się ciągnie; chałupy koło wody rozłożyły się osiedlami [1]. Ale przyrastająca ludność pcha się z doliny po stokach ku górze, zaorywuje pastwiska, kleci po bokach góry nędzne chaty, a gdy na szczyt dojdzie, gdzie już ostatek pastwisk i tłoków — to wtedy chyba na gwiazdy sięgnie po ziemię, bo jej tu zabraknie... A to niedługi czas do tego!

Nie dziw, że lud szuka zarobku, gdzie tylko o jakim zasłyszy; nędza wypycha go z chaty...

Ot i teraz... drogą, która wiedzie koło wody do miasteczka, widać wlokących się po dwu, po trzech rosłych, ale zmizerowanych młodych ludzi. Idą z zawiniątkami na kolej... Ona przeniesie ich od krainy nędzy do tych wymarzonych miejsc, gdzie tak łatwo zdobyć parę „papierków...“ Tak łatwo tam przychodzą „piniądze“.

— E, coz to za trudnoś — myślą sobie — ino sie robi dwanoście, abo dziesięć godzin na dzień, a weźnie sie za to siedem sóstek! Kie na to trza we wsi dwa dni, abo i więcy

---

[1]) Osiedle = parę domów w kupie, związanych z sobą wspólnością pastwisk i ugorów.

robić... Cały rok bozy człek haruje i haruje, a nika nic!... Dłub w tym gruncie i dłub, a on cie jesce nie zdole wyzywić...

Takie myśli przesuwają się po głowie odjeżdżającym i nadzieja prędkiego zarobku już im naprzód rozjaśnia wybladłe twarze...

Na godzinę, w której kolej odchodzi, zgromadziło się sporo ludzi na dworcu. Z każdej wsi ciągnął ktoś; około dwiesta ludzi czekało na pociąg. Niebawem nadjechała „masyna“.

Lud rzucił się do wagonów... Za parę minut pociąg ruszył i powiózł młodych nędzarzy „na zorobek...“

Na dworcu zostali załzawieni ojcowie, szlochające głośno matki i parę dziewcząt, które odprowadzały „swoich...“

— Niech-ze ich ta Pon Bóg prowadzi, Matka Nojświętso!... — polecali Bogu odjeżdżających znajomi i bliscy . . . .

. . . .

I „przemkło“ pół roku... Lato gorące, przeplatane częstemi burzami, załoniło się w uciekającej przeszłości...

Stodoły były tylko do połowy wypełnione. Grad poniszczył chleb na polu, a co grad nie zbił lub woda nie zabrała, to zepsuły długie słoty w czasie zbiórek, a do reszty i dziki pomogły jeszcze na zagonach wymłócić.

— Jak tu z takim lichym zasobem ognać

długą zimę?... — wysila się mózg strapionego gazdy... napróżno! Pozostaje chyba jeszcze jeden ratunek: zarobek...

W chałupach, gdzie mężowie lub syny poszli jeszcze z wiosną „do światu“ — tęskno wyzierają i oczekują ich niecierpliwie...

— Dyć pisali parę razy, przysłali nawet po kilkanoście ryńskich, ale tu ku zimie trza tego i owego; moze tyz zarobili co więcy i przywiezą...

W niedzielę po sumie, na rynku, gdzie jedyne miejsce do wspólnych dla całej wsi żalów i skarg — zbierają się coraz liczniej i częściej ciekawe gromadki; a wszystkie gwarzą tylko jedynie o zasłyszanem powodzeniu zarobkujących, to o ich bliskim powrocie...

I rzeczywiście — w jedną taką niedzielę, z początkiem adwentu, można było wśród ludu rozróżnić kilku, a nawet kilkunastu „po pańsku“ ubranych, którzy coś ciekawego naokół rozpowiadali, bo ich słuchano pilnie, a gęste gromadki otaczały ich dookoła...

— To *sem* nie tak, jak myślicie... — mówił jeden z owych pół-panków, przybrany w surdut i wysokie buty. — Tam *je neni* tak *dobre,* jak ludzie *śprechują...* Na wikt, to wystarcy, *lebo* na odzienie; na posyłanie ale do domu — to nie wystarcy. Jak nadejdzie *becalunek,* to sie

hnetki rozleci. Na *faierant* ni ma, coby do miasta na *Budzin-štad* wyjść wedle *śpacyrunku*...

Ludzie słuchali go uważnie, a matka, stara kobieta, napatrzeć się nie mogła synalkowi, że „tak przepieknie wyglądo, kieby nieprzymierzając jaki pon, abo ślachcić“. Imponowały jej szczególniej pomarszczone buty wysokie i „mieme“ słowa, często używane, których nie rozumiała. A gdy się jej sąsiadki pytały ciekawie, czy przecie syn przywiózł co „dudków“, odpowiadała:

— Piniędzy, bo nie przywióz zodnych. Ale coz sie dziwić! Dyć przecię i tam trza jeść i ubrać sie nie byle jako, bo to nie między swoimi... Za to tyz ubroł sie nolezycie i na tworzy go przybyło. Casu nie marnowoł, bo przecię i po mimiecku godo i po madziarsku... Zawdy sie to przydo!... On wom juz tak wicie od malućka był przyściepny do syćkiego!

Radowała się biedna matka... ha! było czemu.

Ludzie słuchają, a kiwają głowami i dziwują się, gdy przybyli opowiadają cudaczne dziwy o tym „przepieknym landzie“. Dziewczęta tylko niektóre posmutniały, że się ci „swoi jakosi podmieniali...“ Żadna nie ma jakoś śmiałości przystąpić, zagadać, jak przedtem... I oni już nie patrzą na nie, jak dawniej.

— Skoda chłopców — mówiły do siebie. — Tak im było pieknie w naskim stroju, a w tych

burnusach wyglądają, jak świoby. Musiały ich odmienić tamtejse dziopy...

Niejedna też popłakała na boku... Żal jej było *tamtego* — *ten* „jakisi inakszy... inakszy!...“

A stary gazda Jontas, co to bacował jeszcze za dawnych czasów — poglądał z pod oka na tych „cudoków“, jak ich nazwał — i machnąwszy ręką, odchodząc, szeptał do siebie:

— Hej! Nie te to casy, nie te... Downiby cie wyśmioli, jakbyś sie pokozoł w tych burnusach między swoimi... a dziś? Edyć ten zorobek, ten zorobek... — labiedził stary — dyć coz z niego?... Do chałupy nic nie przyniesie... Jako bieda była — tako bedzie... Przynomni, jak siedzieli w domu, to choć obycajów starych pilnowali... A dziś — ot co?... Pośli we świat wiary zabocyli, ojcyste gwary sie juz wstydzą jakiesi cudzoziemskie wyrcenia ino słychać... Przyodziewku to na tem zodnego; ani to chazuki, ani poćciwego kapelusa... Wnetki sie we światowców poprzemieniają. Drzewi[1]) ka ta kto słysoł o jaki kolei?... Wozem sie jeździło, po ludzku, abo sie sło na nogach... Jak wto roz za zycio był w Krakowie na odpuście — to juz była wielgo rzec!... Dziś — kielo to luda do Pesztu, to do Ostrawy, to... djabcy wiedzą kany!... A to syćko nic dobrego. Jesce do Ha-

---

[1]) Drzewi, drzewiej = dawniej.

meryki — pol grzechowie!... [1]) Tam przecię i zarobi i do chałupy przyśle, a o swoich nie zabocy, bo to kajsi precki za morzem, to sie i za swoimi ztęskni... Ale do tych miastów — to niescęście całe!... Ha no, bieda gniecie... Ludziska sukają sposobu do zycio... Coroz więcy luda wychodzi ze wsi, a nie ubywo... Dziś ni mają z cego zyć, a z cegoz bedą potem, jak sie ich więcy namnozy!... Fabryki sie wnetki przepełnią i zarobku nie stanie... Hej! bedzie to źle, bedzie... Ale coz poradzis? Dyć trudno, mają sie potem sami wiesać pomiędzy sobą!... Boze! nie dejze tyz tego docekać mnie i moim dzieciom...

Tak labiedził stary gazda i, wsparty o poręcz pod kościołem, długo jeszcze myślał cosi w sercu i rozważał... Wreszcie machnął ręką:

— Dyć wólo Bosko na sycko!... — rzekł głośno i poszedł powolnym krokiem do kościoła, bo „juz na niespór sygnowali... Hej!...“

---

[1]) Pol grzechowie = pal dyabli.

POGRZEB.

— Coz pedzioł ksiądz wikary? — pytały się kumoszki kobiety, która wyszła z izdebki do sieni.

— Eh, moiściewy! — machnęła ręką — syćko w ręku boskiem...

— Oj tak, tak moi kochani... Ale przecie? — pytały ciekawie.

— Ha, no pedzioł, ze jak sie nie polepsy, to bedzie źle...

— No wicie, wicie, jak to jegomość przeźry naprzód syćko...

Tak w sieni rozprawiały ciekawe kumoszki, otaczając kołem „gaździnę“, której mąż leży w izdebce na śmiertelnym barłogu. W ostatniej chwili posłano po księdza; to też przepchał się sankami przez zaspy śniegowe, by choremu przynieść ostatnie pocieszenie... Został sam z chorym w izdebce, a w sieni i piekarni zgromadzili się sąsiedzi; jedni z troskliwości kumoterskiej, drudzy z obowiązku chrześcijańskiego, a inni wreszcie z ciekawości i chęci pomówienia „z jegomościom“... Mróz trzeszczący nie po-

wstrzymał ich; nawet z dalsza przyszli i prawie całą napełnili piekarnię.

W izdebce chory spowiadał się księdzu. Wynędziałą twarz uniósł na ręku i słabym głosem mówił swoje przewinienia. Jakie?... to rzecz Boga.

W sieni i piekarni stali gazdowie, kobiety i dzieci, wszyscy z nabożnemi minami, słuchając, rychło z izdebki ozwie się sygnał Komunii św. Wreszcie głos dzwonka wybiegł do sieni. Ludzie poklękli i poczęli mówić pacierze, jakie kto umiał: jedni litanię, drudzy koronkę, a inni wreszcie zwyczajne „paciorki“. I znów dzwonek ozwał się powtórnie. Ludzie wstali, zamieniając pacierz na cichą gwarę...

W piekarni, przy piecu, dziewczyna służąca warzyła mleko dla „furmana“, który zziębnięty bił „kerpcami“ o podłogę.

Drzwi zaskrzypiały od izdebki i ksiądz wikary ukazał się w sieni. Lud rzucił się do rąk „jegomościa“, całując go po białych dłoniach...

— No, jakze jegomościu, bedzie jesce co z niego? — pytali śmielsi gazdowie.

— Ha, Bóg to raczy wiedzieć... Czemuście po doktora nie posłali?... — spytał, zwracając się do żony chorego.

— O mój jegomościcycku — odrzekła kobieta płaczliwie — edyć radziliśmy, co my mogli... Co ino kto doradziół, to sie uzywało. Ale to wólo Bosko syćkiem rządzi.

— Hej! — przyświadczyły kumoszki.

Ksiądz wzruszył ramionami, otulił się w futro szerokie i wyszedł przed sień.

— No, Wojciechu, jedziemy!...

Wojciech rzucił „zeleźniocek“ z mlekiem, wziął biczysko i ruszył ku sankom. Zawrócił na miejscu...

— Siadajcie, jegomościu!...

— Jedź, jedź... Ja zejdę na dół, za potok... Jeszczebym gdzie karku nadkręcił po tych wertepach śnieżnych.

No, to jegomościa sprowadzimy! — ozwało się paru gazdów.

— A dobrze...

Kobiety znów rzuciły się do „jegomościa“, by ucałować ręce na pożegnanie, które on niechętnie na mróz wysuwał.

Sanki ruszyły, zapadając w zaspy co chwila, a ścieżyną, wydeptaną przez ludzi, którzy zwykle „gęsiego“ chodzą do kościoła, toczył się w szerokim futrze „jegomość“ za nim paru gazdów, odzianych w krótkie kożuchy.

Tymczasem ludzie przeszli z sieni do izdebki i otoczyli chorego, dręcząc go najrozmaitszemi pytaniami. On wysilał się i odpowiadał, bo „kto wie, cy ich jesce uźry“, czuje, że go „ino tela z tego“ na świecie...

— Toście destament robili? — spytał kumotr daleki.

— Robiół... pisorz...

— I wasej-eście zostawili syćko?

— Ehę!...

— A dzieciskom nic? — spytała ciekawie kumoszka.

— Jak bedą matki słuchać, to bedą mieć... Dyć ona nie bedzie wiekować na świecie...

Starszy chłopak patrzył się bezmyślnie na ojca, a dziewczynka płakała pod oknem... Mały Józuś pobiegł za matką do piekarni.

— Hej, dzieciska! — począł biadać chory — Zeby mi Pon Bóg doł tela zycio, coby to odrosło! A tak — matce bieda... Nie popchną, nie przyźrą koło chałupy... Matce bieda!... Zeby je choć słuchały...

I dwie łzy wzruszenia wytrysły mu na powieki. Wtem kaszel porwał go suchy i dławił parę minut. Twarz zczerniała od wysiłku, od szamotania płuc... Opadł powoli głową na „zagłowek“ i osłabiony, patrzał w koło po zebranych...

— Z cego wom tyz to tak wlazło do tych piersi? — zagadnęła go najbliżej stojąca kobieta.

— Et... — zatknął się, wargami ruszał, a głos ugrząsł w gardle.

— Dejcie pokój, nie pytojcie!... Widzicie, ze kumotr słabsi. Godanie ich męcy — zauważył rozumnie starszy z gazdów.

Zgromadzeni pozierali na chorego, to na sie-

bie, jakby spojrzeniem chcieli mówić: „Hej, juz go niedługo... Tela z tego... Do casu ino“...

A chory zapatrzył się w sufit... Wzrok szklistej barwy nabierał i twarz znieruchomiała, jak oblicza bohomazów, które wiszą na ścianie nad łóżkiem.

Ludzie poczęli się wreszcie rozchodzić, żegnać...

„Ostańcie z Bogiem!“ „Krzepcie sie jako!“ „Z Panem Bogiem!“ „Dy zeby Bóg doł“... — Krzyżowało się naprzemian.

I chory odprowadzał wzrokiem ku drzwiom każdego, jakby chciał rzec: „Dy jo cie juz nie uźrę więcy!...“

* * *

— To padocie, ze umar ten ze zagrody?

— Oj tak, tak. Umar te nocy...

— Wiecne odpocywanie... Niezły to był gazda!... Ha no, i nos tu niedługo... E siądźciez kumotrze, nie stójcie. Dyć kaz wom tak pilno?...

Stary Jontas postawił stołek sąsiadowi. Ten usiadł powoli...

— O, nika mi sie nie śpiesy. Inoch wom przysed pedzieć...

— To padocie Bartłomieju, ze te nocy?

— Hej, koło północka. Krzypota [1]) go chyciła, ta i zadłowiła na piekne.

---

[1]) Krzypota = suchy kaszel.

— Oj, ta krzypota... dyć ona nie zartuje, ino, jak sie uweźnie, to i zadusi...

— A to syćko od roboty.

— Ba, od cegozby insego!... Ono ta, jak człek dźwignie, to tego odrazu nie cuje, ale jak sie potem syćko zezbiero na kupę, to Panie Boze ratuj!

— Hej!...

I starzy dwaj kumotrowie biadali na „ciężką procę“, z pracy zeszli na biedę, a bieda to ulubiony ba, konieczny temat rozmów górskiego ludu. Powitanie „biedą“ rozpoczynają, a pożegnanie „biedą“ kończą...

O czemże innem mają mówić, kiedy bieda wypełnia treść ich życia...

Ona po kamienistem polu sunie się za gradobiciem, ona do stodół zagląda po nieudałych prawie zawsze żniwach, ona wygląda z każdego kąta w chałupie, ona jest towarzyszką nieodstępną biednego gazdy...

Toć to prawda, że dawniej było niewielu gazdów we wsi, ale każdy wypasał po pięćset owiec na trawiastych pastwiskach. Dziś namnożyło się gazdów — „ot, zycanie ludzi przybywo“ — a grunta stopniały, rozdrobiły się i rzadko znaleść gazdę, któryby troje bydląt wyzimował. A komorników mnoży się coraz więcej, którzy ledwie dach mają nad głową, najemników, którzy idą we świat „lo chleba“ — a i we świecie ludzi nie brakuje...

Ciemna przyszłości! — jaką karmę gotujesz dla ludzi bez zagonów, których coraz więcej?... Ot, i z przyszłości towarzyszka bieda ręce do „swoich“ wyciąga i z okropnym uśmiechem przedstawia im swego syna...

To godny matki płód! — a imię jego: Głód...

. . . .

. . . .

Kiedy się już starzy nagadali do woli, pierwszy Bartłomiej podniósł się ze stołka.

— Uciekocie juz kumotrze? — spytał gospodarz.

— E, trza iść dali... A mozebymy zaźreli do nieboscyka? Zbierzcie sie kumie!

— E dyć... choć po śmierzci trza go zobacyć, bo go juz nie uźrymy.

Wdział kożuch na biodra i wyszli razem, prując śnieg kolanami, ku chałupie, gdzie spoczywał umarły... Po drodze przypominali sobie pożycie sąsiedzkie z nieboszczykiem.

— Był to zgodliwy człek. Niech mu ta Bóg grzechy odpuści!... Z nikim nie zadar, nie zacął, a doradziół kazdemu, jak ino zdoloł... U niego dostoł syćkiego: cy to jarzma, cy to kołu, cy jakiego insego sprzętu.

— Hej! — potwierdził sąsiad. — Pamiętom, kie jesce był chłopokem nieduzym, jak my se to razem posali po lesie. On ta strugał fujorki

jo rzempolił na skrzypcach i wesoło nom było! Hej... Do odbiórki [1]) my razem chodzili. He, był to zmyśny chłopok! Co on ze zydami nawydziwioł!... Niech mu ta tego Pon Bóg nie rachuje. Potem wzięni go do wojska... A kie przysed do chałupy, to juz ojca nie zastoł, ino goły grunt. On sie wicie wzion, ozyniół, długi pospłacoł i tela z tego, ze sie zacął brać do światа, kupił se woły i cosi kajsi, a tu wicie trza syćkiego odejść... Bo śmierzć nie zartuje, ino przydzie i: „Pódź Kuba do wójta!“

— Hej, nie zartuje... nie — powtórzył sąsiad. Stanęli przed progiem chaty, do której zdążali... Obejrzeli się jeszcze poza siebie, jak zwyczaj każe i weszli do wnętrza. W piekarni na długiej desce, przykryty białą płachtą, leżał trup...

Ludzi było sporo w izbie, starszych i młodszych. Naschodzili się „na pociesenie kumosce“, kiedy ją taki smutek dotknął.

Ona, z załamanemi rękami siedziała pod piecem, popłakując od czasu do czasu. Dzieci koło niej się usadowiły i patrzały ciekawie, to na ludzi, to na leżącego tatusia, nie rozumiejąc jeszcze nieszczęścia, jakie na nich spadło...

Koło przeciwległej ściany stolarz „hyblował“ deski na trumnę... Robił on wszędzie „trunny“,

---

[1]) Odbiórka = pobór do wojska.

to też obojętnie spoglądał na patrzących i na nieboszczyka, dla którego robi „kołyskę“ (jak mówił).

— Dy mi to nie pierwsyzna — rzekł, kiedy go prosić przyszli. — Ino ta poliwa przystrójcie!...

To „poliwo“ pociagał od czasu do czasu „na frasunek po umarłym“, jak mawiał, ale deski hyblował gładko i spajał dokumentnie.

— Jak wom zrobię trunnę — gadał — to sie wom do nie za sto lot chrobaki nie przecisną!... Jakby gróborz natrafiół trupa, kopiąc grób, to go zdrowiuteńkiego wydobędzie. I gotowi biskupi kanunizować nieboscyka za taki cud ocywisty!... Bo ino wtedy chrobaki lazą, kie trunna ladaco...

Wierzyli mu i nie wierzyli, a on bajał, gdy „poliwa“ pociągnął.

Wieczór się robił powoli... Kurniawa [1]) rzucała śniegiem do okna, a ludzie posiedli, gdzie kto mógł, i pocieszali, jak mogli, strapioną wdowę...

— E kielozeście zapłacili, kumosiu, za pogrzyb? — spytała jej ciekawie sąsiadka.

— Calutkie trzydzieści ryńskich, kumosiu, calutkie...

— Ale przecie bedzie ładne nobozeństwo?...

---

[1]) Kurniawa = zawierucha śnieżna.

— Edyć bych tyz chciała dopomódz nieboscykowi, co ino w mocy. Zamówiłach nobozeństwo, wilije za umarłych. Ksiądz plebon nie chcioł tani przystać, jak za trzydzieści. Prosę go, zeby tyz co opuściół, bo i na nas bieda, a jegomość mi pado, ze za dwadzieścia, to nawet na smentorz nie odprowadzi... a tu jakoz bez odprowadzenio chować! Przecie my tyz katolicy. Musiałach hań od kumotra pozycyć i zanieść jegomościowi. Sprzedom krowę na jarmaku, to im oddom. Ale coz było robić? Kie trza, to trza, a chciałach koniecnie, zeby go tyz ućciwie pochowali! Dyć zasłuzół na to... — I zalała się łzami na nowo.

— Nie krzyćciez kumosiu! — pocieszały ją inne — dyć sie wom juz nie wróci! To darmo... Juz musicie przyjąć, kie tako wólo Bosko...

Wdowa uspokoiła się powoli, gdy starzy „zeby sie im nie cnęło siedzieć, coby nie zdrzymnęli“ poczęli kolejno opowiadać różne historye, mające związek ze „śmierzcią“.

Więc stary Jontas, gdy już inni skończyli, tak zaczął:

— Kiedy mój nostarsy syn, dyć go znocie, słuzół przy ułanach, pojechoł z całom kompanijom na Węgry, ka ich starsi posłali. Było to wicie wtedy, kie Segedyn zaloła woda, bo akurat mi opowiadoł, ze stoli pod Segedynem, coby ratować mieskańców... No i wicie, on stoł ze

swoim świadronem w jedny wiosce, ino se ni mogę zbocyć, jak sie ta wieś nazywo... No, ale niech sie nazywo, jak chce. Dość, ze tam było... On, wicie, jeździół z raportem do miasta i wraco nazod koło północka... Kie juz był w połowie drógi, słysy jakiesi tyrcenie za sobą. Oglądo sie, a tu baba, ubrano cołkem bioło, jedzie za nim na wózku... Miesiąc świeciół, to widzioł dobrze, kto jechoł. Ździwiół sie okropnie, ze to ani konia, ani zodnego zwierzęcia, coby wózek ciągło, ino sama baba siedzi na dwóch kółkach i jedzie krok w krok za nim... Zląk sie cegosi, włosy mu jaze copkę podniesły. Zacion konia, puściół w galop i pędzi, co tchu, a tu tyrcenie nie ustaje... Co on prędzy, to i baba prędzy; co on pomali, to i baba pomali... Jaze dojechoł do wsi. Baba skręciła do noblizse chałupy, a on wpod do swoje kwatery. Nic nie godo, ino zsiado z konia, a tu wtydyrnecki[1]) wpado kobieta z te izby, ka bioło baba kręciła i lamentuje, ze ij chłop umar... Wtedy, wicie, mój chłopok przysed na to, ze ze śmierzciom jechoł.

Zaciekawienie na twarzach słuchających było ogromne. Paru gazdom fajki pogasły, a oni słuchali ciekawie. „Dyć jest o cem słuchać, moiściewy... Hej!"

— Mnie sie zaś tak zdarzyło — podjęła nie-

---

[1]) Wtydyrnecki = prędko (w jednej sekundzie).

młoda kobieta, którą powszechnie z wielkiego szacunku „chrzesnęmatką“ zowią. Wysłach se wiecór na pole i widzę: na trowniku cosi biołe lezy... Myślę... cyby gopa spadła z krzasła, bo sie to wicie za dnia bieliznę susyło... i posłach podnieść. Lezało wom tak, jak poswijono łoktuska...[1]) Schylom sie po to, kiedy ono wicie podniesło sie samo ze ziemie i posło powietrzem ku tetaizbie...[2]) Coś mie wzdrygnęło... Wróciłach sie zaroz do izby i jescech dobrze drzwi nie zawarła, kie z tetaizby wpado kumoska i pado z krzykem, ze ij dziecko umarło... No, wicie sami, co to było...

— Hej! — odezwało się kilku z drżeniem w głosie.

A dzieci trwożnie pozierały, to ku drzwiom, to do okna, czy tam „cego biołego“ nie zobaczą...

Opowiadania poczęły się wysnuwać jedne z drugich i przesiedzieli tak noc całą... do rana, a nikt się nie zdrzemnął, jedna wdowa tylko, ukołysana strapieniami, „zemzała“ na chwilkę...

Świtać poczęło i ranek się robił. „Kurniawa“ ustała... mróz tylko skrzył się po śniegu gwiazdkami, a od wschodu słonka „obezgło się“ na pogodę...

---

[1]) Łoktuska = biała lniana płachta, używana przez kobiety, jako wierzchnie odzienie.

[2]) Tetaizba = tamta izba, czyli dom sąsiedni („ku tamtej izbie“).

Ludzie się poczęli rozchodzić do domów, by zjeść co, ogarnąć się i przyjść znów odprowadzić nieboszczyka do kościoła i na cmentarz...

* * *

Od chałup z pod lasu gromada ludzi płynie powoli, rozsuwając miałki śnieg z pod nóg.. Czterech tęgich parobczaków trumnę czarną niesie na ramionach. Wszyscy na mróz głowy poodkrywali i nucą półgłosem jakąś smętną, grobową pieśń o czyścu...

Na białem tle, ta czarna masa, jak cmentarz posuwa się powoli... Czasem melodya popłynie ku sinym lasom, czasem poważny, basowy głos dzwonu o poblizką górę się obije, to znów rozdzierający płacz kobiety, idącej za trumną przedrze powietrze, a cała wioska spokojna cicha, weselną szatą białą przybrana, śnieżystą piersią w słońcu oddycha, rzędami drzew i miedz poorana...

Przed kościołem stanęła gromada ludzi. Naprzód trumnę ponieśli młodzi do kościoła, za nimi posunęli się starzy, kobiety, dorośli i niedorostki... Nieduży kościółek wnet zapełnił się zgromadzonymi „na pogrzyb".

Grabarz z pomocą parobczaków postawił trumnę na katafalku i zapalił dwadzieścia cztery świec. „Za trzydzieści reńskich dość światła, po-

wiedział ksiądz pleban" — tak objaśniał grabarz ciekawych.

Organista zaintonował żałobną pieśń i ksiądz w czarnym ornacie wyszedł do ołtarza... Po skończeniu mszy św. rozpoczęły się wilije. W jednej ławce ksiądz wikary, w drugiej organista, śpiewali monotonnie naprzemian psalmy pogrzebowe. A lud płakał „kie sie jegomość z organistom przemowiali..."

Spory pagórek centów piętrzył się na tacy przed trumną. To lud „na ochfiarę" złożył.. „Przecie cent, to nie piniądz, a nieboscykowi sie jako tako dopomoze..." Hej!

I skończyło się nabożeństwo. Trumnę wynieśli z kościoła; za nią szedł zwolna ksiądz w żałobnej kapie, dookoła zaś postępował lud rozpłakany...

Zatrzymali się nad grobem... Ksiądz pokropił i rzucił drewnianą łopatką parę grudek zmarzłej ziemi na trumnę. Lud począł szlochać głośno... Kobieta-wdowa z krzykiem rozpaczy rzuciła się ku trumnie, objęła ją czerwonemi od zimna rękami i zawodząc głośno, całowała zimne deski...

— Nie mogliście się w domu wypłakać!... — odezwał się „jegomość". — Tu już krzyczeć darmo!..." — Zaintonował „Salve" i, uważając obowiązek za spełniony, równoważnie do zapłaconej sumy, oddalił się szybko, bo mróz nie żartował.

A kobietę ledwo zdołali znajomi odedrzeć od

grobu... „Łozcymali“ jej jak mogli... a ona ostatkiem łez żegnała „nieboscyka“.

Lud otoczył grób kołem i począł nucić rzewnie, cicho pieśń nagrobną:

„Pogrzebmy to ciało w grobie —
Niechaj tu spoczywa sobie...
Albowiem z ziemi stworzone,
W ziemię będzie obrócone...“

Straszną prawdą, silniej już zabrzmiała druga zwrotka:

„Możny i ubogi równy —
Nikt od „śmierzci“ nie wymówny;
Któż wie, na kim kolej stoi?
Przeto niech się każdy boi...“

Lud rozśpiewał się, rozpłakał i nie spieszyło mu się do domu, choć mróz szczypał twarz i oczy... Gdy skończył jedną pieśń, zaraz rozpoczynał drugą, a co która, to rzewniejsza żałobną melodyą... Jakby głos skarżącego się z trumny leciał śpiew po drzewach:

„W tę podróż odchodzę... nie biorę nic z sobą —
W postaci okryty śmiertelną żałobą...
Tylko cztery deski, z siedmiu łokci szata —
To cała zasługa z mizernego świata...“

To znów podzielili się młodzi i starzy na dwa chóry żałobne, chóry umarłych i żywych. Młodzi pytają grobów:

„Zatrzymajcie się — rozpytajcie się:
Czyje jęczą prochy?...

O syny, córki!... — co te pagórki,
Co szepczą te lochy?...“

A odpowiedź grobów płynie:

„Pominęli nas — zapomnieli wczas
I nie rzekli nam:
Wieczny pokój wam!...“

I bolesną powtarza się skargą. A żywi pytają się znowu:

„Odezwijcie się — upomnijcie się
Smutne kostek jatki!...
Nie zna was cudzy — krewni i słudzy,
Nie znają was dziatki...“

Odpowiedź umarłych, jak z grobów jękiem się wydobywa:

„Śpimy głęboko... Już wasze oko
Nie zobaczy nas,
Chyba w sądny czas...“

Pieśni się skończyły... Ludzie po cichu szeptali paciorki — i poczęli się rozchodzić w nabożnem milczeniu po cmentarzu... Każdy przecie chciał się i za „swoich“ pomodlić — a nie było człeka „coby kogosi ze swoich tu ni mioł“... Wreszcie ostatniego dziada mróz wygnał z cmentarza i cisza była w zmierzchu drzew — wielka cisza grobów...

Prawdziwą boleść tego ludu tylko na cmentarzu można zobaczyć. W furcie cmentarnej zbywa on się ziemskich namiętności — i te prawdziwe skarby pięknej duszy jego otwierają się na widok grobów rzewnością nieopisaną, smutkiem prawdziwym i płyną w żałobnych melodyach na świat z cmentarza... Zawzięty chłop, gdy na cmentarz wejdzie, gotów darować wszystko najwiękzemu wrogowi... Tu się odbija prawdziwa jego wiara: uczucie... Komedyą są wielkopańskie pogrzeby „na urząd“ wobec tych bogatych świątyń smutku i żałości ludu!... Piszę to, com widział i słyszał. Dzieckiem jeszcze, wypłakałem duszę przy tych cmentarnych śpiewach ludowych. I nie żal mi smutku owego... Kto chce lud poznać — niech idzie słuchać jego nagrobnych pieśni. I nie wiem, czy jest człowiek myślący, któryby potrafił łzy powstrzymać, gdy tylko samą melodyę usłyszy owej pieśni grobów...

SKRZYPKI GRAJĄ — BIEDA GRA...

„Na Koninie bory sieką!“ — leci wieść od chaty do chaty i weseli zawsze jednako posępne twarze biednych ludzi, bo i ma czem weselić...

Bory, to długa łąka u stoku góry, własność całej wsi Koniny. Nie ma granic, ni kopców, a gazdowie po skoszeniu dzielą się kopami. W połowie sierpnia zaczyna się jej „siecenie“. W piękną, jasną noc księżycową wychodzi z kosą najstarszy gazda do borów, a gdy echo osełki, jak tokanie głuszcza, przeleci po wsi, jakby za czarodziejskiem zaklęciem zjawia się cała gromada, klepie kosy, nabija i wnet bory ożywiają się szaremi postaciami; ciemne szeregi chylą się, to podnoszą, miarowo, w równym takcie, a miękka trawa z szelestem pada na długie, wilgotne pokosy... Czasem pieśń duszna, zgrzytliwa wyrwie się z gardła nędzą zdławionego i w czyściejszych echach obije się o pobliską górę, czasem ostrzenie kosy, krótkie, urywane zadźwięczy

i ku okołom [1]) pustym poleci... i szelest znów ten sam, jednostajny, pomieszany z ciszą i migotliwe błyski ostrych kos...

„Bory sieką!...“ — Dziewczęta się radują, bo po „sieceniu“ grabienie, po grabieniu kopienie, a przy kopach nocą księżycową muzyka i tańce... Toż to uciecha, zabawa raz do roku! zwyczajowe, nocne święto... „Ino, cy bedzie pogoda?“

„Bory sieką!...“ — dobiegła wieść do mnie i zbudziła silną chęć zobaczenia borów, setek kóp wonnego siana, śwarnych dziewcząt i wartkich tańców... Dzień jeden i drugi pogodny, gwiazdy gęsto świecą, o deszczu ani słychu!... Na trzeci dzień chęć zamieniła się w czyn, poszedłem...

Kawałek już było z południa, kiedy przekroczyłem wysoki próg w chałupie podwójciego, którego dom tuż, tuż koło borów. Wszedłem do piekarni.

Podwójci, dobry mój znajomy, zerwał się z ławki, gdzie „strugał“ konewkę i wyciągnął ręce na powitanie. Uścisnęliśmy się serdecznie.

— Przejdźmy do izdebki!... — zaproponował — bo tu ani usiąść ka ni ma, ani nic... — Przeszliśmy. W izdebce widno, jasno, ściany jak malowane, słowem, jak u „porządnego“ gazdy.

— Cóż tu u was słychać? — pytam.

---

[1]) Okół = stodoła.

— E staro bieda pcho sie ta tak pomalućku, jak moze...

— No chwała Bogu, że przynajmniej stara bieda, nie nowa...

— I za toć Bogu dziękować. A u was ta co nowego?

— U mnie?... nic nowego.

— No przecie?...

— Prawdę mówiąc, stara bieda. A jutro, Bóg wie, co przyniesie...

— Oj, to jutro, to jutro!... — pokiwał głową podwójci — e moze sie mleka napijecie? — zwrócił się do mnie.

— Z największą ochotą.

— Tereska! — zawołał przez sień. „W te razy“ weszła jego żona.

— Tereski ni ma, posła do siana na bory! — mówiła prędko i głośno.

— O ratunecku! — zawołała, zobaczywszy mnie — przecie nas pon choć roz odwiedzi!... Tele casy być tak niedaleko i nie przyść!... Spodziewali my sie pana w tamtą niedzielę, umyślnie kupiłach chleba, cekaliśmy, a tu nic... Myślimy, cy sie pon zgniewoł na nas, cy co?...

— No nie godoj, ino dej mleka! — przerwał jej mąż.

— E jakiez panic woli: maślonkę, cy słodkie? — spytała szybko.

— Maślankę, maślankę!

Zamieszała w maślniczce, nalała do białego garnuszka. Wychyliłem jeden za drugim.

— Smakuje panicowi? — pytała wesoło.

— Smakuje, smakuje, tylko o jedno was proszę.

— No?...

— Rzućcie „pan“ i „panic“ na bok, a mówcie mi, jak dawniej, po prostu. Przecież-em wasz. Chyba, że się mnie już całkiem wyprzeć chcecie...

— Bójcie sie Boga, ktoby tyz o tem myśloł!... Ale to tak nie idzie...

— Idzie, idzie, moi kochani...

Wziąłem ją za rękę. Uśmiechnęła się przez łzy. Okropnie dobra kobiecina, zwłaszcza ma jeden wielki przymiot: lubi prędko i dużo gadać!...

Gwarzyliśmy też długi czas, dość długi, bo już Tereska przyszła od siana i obleciała po chleb do karczmy. Więc z chęcią, czy bez chęci musiałem jeść, bo mnie raczyli... „A jak cie troje rocy, to sie som jeden nie oprzes!...“

- A zeby nie bory, tobyście pewnie do nas nie zajrzeli? — zagadnęła filuternie gospodyni.

— Prawdę rzekłszy, tom głównie dla borów przyszedł. No, a potem i znajomych odwiedzić.

— O znajomych to mniejso — podjął podwójci — ale co sie w nocy ubawicie, to nie pożałować!

— Bedą tańce! — zawołała wesoło Tereska.

— Tobie ino tańce w głowie! — karciła ją matka.

— A niech tańczy! niech się dziewczę zabawi! — broniłem jej.

— O, dyć one syćkie takie — mówiła matka. — Ino sie parobek przejdzie koło izby, to ta myk w pole!... i juz tyr-tyr poza węgły... Wnetki-by na drogę za nim leciała.

Dziewczę się zarumieniło i, kryjąc zapaską oczy, wybiegło z izby.

— Ty na dziewkę wygadujes, a samaś tak robiła! — roześmiał się podwójci.

— Ja? ja za tobom lotała?!...

— Ho! ho! jesce jak!... Pamiętos, kiedyś siano grabiła sama... ja ci przysedł pomódz...

— No, no, dej spokój! Tu nie spowiedź.

Rozśmiali się oboje. Ja tymczasem patrzyłem przez okno za czerwoną chusteczką Tereski, która jeno migała się wśród wysokiego zboża. Biegła szybko ścieżyną nad potok... Wstałem i ja, dziękując dobrym ludziom za posiłek i ruszyłem w pole.

— Ale wrócicie na noc? — zaleciało z sieni.

— Wrócę! — odrzekłem i w kwadrans stałem już nad potokiem, za kamienistą drogą, która razem z roztoką spada z niedalekiej góry.

Siadłem na trawniku i wpatrzyłem się w drobne, skaczące fale i białe, wirujące piany...

„Wartko się woda po kamieniach toczy,
A piana wstaje, srebrzy się i ginie...
Za jedną falą, gdy pogonią oczy —
Już druga, trzecia... dziesiąta nadpłynie.

Wartko i życie w utrapieniach bieży,
A czar uniesień lśni w zmysłów upiciu...
Lecz gdy ostatni włos zima ośnieży —
Już nam nie marzyć o powrotnem życiu!“...

. . . .

„Płyń falo, płyń!...
I fala, w wilgotne ramiona porwana,
Po toniach mknie — i topieliskach...
I dusza, gdy ją mgłą owinie Nirwana —
W bladawych migoce przebłyskach“...

. . . .

Co za Nirwana? jaka Nirwana? Widzę skaczące nurty, chwytam szum spadającej wody, cały widnokrąg w cudacznie mieszanym kolorycie, o różnych światłach, cieniach, półcieniach, liniach krzywych i prostych, łamiących się tęczowo, odbija się za jedną maleńką źrenicą i tworzy harmonijny obraz... A niebo?... przedrzeć niebo! Wzrok słaby — myśl puszczam... Tworzy fantastyczne formy: światy i światy bez końca... Gdzie Nirwana?!...

— O mnie sie pan pyta?

Obejrzałem się. Za mną stała Tereska. Trzymała skopiec w ręku i przechylała się lekko, podrygując jedną nogą. Wzrokiem prześlizgną-

łem od włosów jasnych do bosych stóp... Kształtna kibić, piersi żywo wznoszące się, jako ta piana na potoku, nóżki okrągłe, czyste... Pewno z wody wyszła.

— Nie, ty nie jesteś Nirwana... — rzekłem głośno.

— A co to za jedna? — pytała ciekawie.

— Taka panna z galarety.

— A ładna?...

— O, i bardzo!... Ma dużo kawalerów.

— I pana między nimi?

— Mnie nie. Nie chcę im wchodzić w drogę...

— Dobrze pan robi. Ni ma to ka indziej panien?

— Teresiu! świetnie mówisz!... — rzekłem z zapałem. — Gdzieś była? coś robiła?

— Byłach na potoku, polewałach płótno.

— Kąpałaś się?

— Ino po kolana.

— Czy zimna woda?

— Nie zimna, ale sie pstrągów boję.

— Świetnie mówisz — powtórzyłem wstając. — Tereś! będzie na noc pogoda?

— O bedzie, bedzie... obezgło sie od zachodu. Tańcujemy, jaze gwiazdy bedą spadać!...

— Pewnie bez zazdrość?

— A choćby, ale bedą! Jasiek od Grzędy obiecał grać. Jak on prześlicnie gro?... Słysoł pan kie?

— Nie.

— To pan usłysy. No, ale takie muzyki, to pan i w Krakowie nie widział!...

Powiedziała to z takiem przekonaniem, żem się wcale nie odważył oponować.

Słonko już było nad górą, kiedy ruszyliśmy ku chałupie.

— Panu sie pewnie jeść chce? — zagadnęła Tereska.

— Po czem poznajesz?

— Bo pan taki zasmucony...

Uśmiechnąłem się.

— Prawda, żem zgadła?

Nie zaprzeczyłem, choć w tej chwili nie myślałem o maślance. Weszliśmy na „osiedle“. Wieczór się szybko robił. Słonko spadło za góry i już mrok wschodził coraz czarniejszy. Bydło pasterze przygnali z pastwisk. „Gaździna“ z córką doiły krowy; ojciec „strugał“ konewki, gwarzyłem z nim, siedząc na końcu ławki.

— Ile takich konewek na dzień zrobicie? — spytałem.

— Dwie, a casem trzy.

— A po wiele sprzedajecie jedną?

— Po dwie sóstki.

— To tanio.

— Ho, moi kochani! Trza czasem i za piętnoście centów sprzedać, jak bieda dozynie, a na sól braknie...

— Wam myślę nie brakuje? Przecie grunt niemały...

— Coz z tego gruntu, kie do niego ciągle trza dopłocać. Na przednowek kupuj, na obsianie kupuj, zawdy i zawdy... Człek sie napracuje na tej świętej ziemi, a na zycie nie zdole z nie wydłubać... Przydzie cas, dzieciska podrosną, trza bedzie o nich pomyśleć. Z dziopom zięciowi trza dać porę stówek, a tu skąd ich wziąś?... Po mojej śmierzci — bo człek nie bedzie wiekował — synowie rozerwą grunt, podzielą i bedą jesce bardzi biedować... Ja ledwo wyzyję, a z cegoz oni?... Jak przydzie trzecie potomstwo, to juz cheba musi z głodu zdychać... Wiecie co? Kie se pomyślę o tem i tak spoźrę na tę przysłoś, to mi sie w ocach ciemni. Ni mogę se rady dać!... Co to bedzie? co to bedzie?...

Zwiesił ręce, oczy rozwarł szerzej i patrzał nieruchomie przed siebie... Gdzieś głęboko, za źrenicami, przeczuć można było łzy, zrodzone z turbacyi, nie tyle o siebie, ile o los swych dzieci. Łzy te padały mu na serce, truły i tak już bólami zatrute życie.

Siedział tak chwilę, a ja nie przerywałem milczenia. Wreszcie podniósł głowę.

— Ha, no, moc boska na syćko!... — zakończył z rezygnacyą.

— I ludzka... — dodałem.

Machnął ręką z lekceważeniem i wziął się

energicznie do strugania konewki, aż wióry do okna leciały.

Matka z Tereską wróciły do stajni i *wnetki* ustroiły wieczerzę. Jedna miska ziemniaków, druga kwaśnego mleka. Szampańska kolacya! Jedliśmy drewnianemi łyżkami, gwarząc wesoło. Jeden tylko „wypadek“ przerwał lekki tok pogwary. Mały Jaś „zatknął sie“ jadłem, czyli, jak mi gaździna tłómaczyła, ziemniak wpadł tam, gdzie miało iść mleko, a mleko poszło tam, gdzie miał wpaść ziemniak...

Nie zrobiło to na mnie jakiegokolwiek wrażenia, bo raz — nerwy mam jak postronki, a powtóre jeszcze lepsze „kawały“ widziałem „na wielkim świecie“. Ale otoczenie moje było w strachu, by się Jaś nie udławił. Szczęściem radykalne lekarstwo poskutkowało. Ojciec „zwalił“ chłopca pięścią w kark i natychmiast owe rewolucyjne pierwiastki wróciły. Jedliśmy dalej bez „wypadku“.

Po wieczerzy, późnym już wieczorem ruszyliśmy wszyscy ku borom.

Noc była śliczna. W księżyca świetle błękitniały lasy, szarzały wyręby, a zdala występowały zdziwionemu oku olbrzymie, mroczne góry. Szczyt łączy się ze szczytem i dziwna potęga jakaś przybija myśl... Mdłe światło łagodzi jaskrawość dniowych barw, magnetycznie pociąga duszę, upaja i zmienia twardą rzeczywistość w ja-

kiś zaczarowany kraj... W naturze mglistość, senność rozkoszna... Zorza na zachodzie czerwieni się, bieleje... i powoli rozpływa w jeden jasny, iskrami zasiany błękit...

Śniłem raz taką Naturę... Z dziennego światła w mroczny labirynt wszedłem i kurytarze mię wiodły, nie wiem, dokąd... Cel u wnijścia zgubiłem i błąkałem się po gmachu w mrokach przeraźliwych... Czy ten kurytarz wiedzie w nieskończoność?... Zaląkłem się wieczności, wracać pragnąłem... Za mną zamykały się ściany... Nagle oblało mnie mgliste światło...

„Ona w niem stała —
Cudowna, wspaniała!...
Przed Nią promienie zwijały się w tęczę,
Nad Nią wisiały błękitów obręcze,
A Ona w świetle księżyca skąpana
Szła... cała czysta i niepokalana“...

Szata z błękitnej mgły w obłoczne się fałdy mieniła, a biała przepaska, jak mleczna droga wiła się koło bioder... I szła ku mnie światłem księżycowem taka rozkoszna, wspaniała... Ramieniem objęła moje ramię, włosy Jej, jak długie włosy brzóz, szeleściły mi koło szyi... Piersi Jej jak miękkie, białe, aksamitne róże upajały mnie... Magnetyczne światło pociągało... A kiedy błękitne mgły owinęły mnie, stałem się niewolnikiem Pięknej i piłem urok i czar i oddychałem woniami białych, aksamitnych róż... Upiłem się

czarem i sen mię światłu mglistemu odebrał. Śniłem księżycową noc... Świt mię zbudził... i uratował. Przeklęty świt!...

— Panie, panie! przepiórka!! — wrzasnęla mi nad uchem Tereska.

— Gdzie?

— O, juz uciekła!... Nie słysał pan, jak smerzyła po zbozu?... Oj, taki pan niezgrabny. Z pod nóg panu wyleciała i nie chycić! No!...

Może i Tereska miała słuszność, łając mnie. Lepsza przepiórka, niż wymarzona, senna postać...

Zbliżaliśmy się do borów. Szare cienie wychodziły z wysokich zbóż, zbliżały się, rosły — i urosły w sporą gromadę ludzi. Najwięcej było młodych parobczaków i dziewcząt. Paru starszych gazdów przyszło przypomnieć dawne lata i popatrzeć na tańce, lub też dozierać młodych, by nie robili „bezeceństw“.

Chłopcy otoczyli mnie kołem i pogwarka lekka, wesoła płynęła chyżo, jak roztoka leśna. Wreszcie podzieliliśmy się na gromadki, a potem na dwójki. „We dwoje nojweseli“ powiadają ludzie.

Podwójci siedział opodal na niskiej kopce siana. Podszedłem ku niemu.

— Wolicie do mnie, jak do dziewcąt? — spytał żartobliwie.

— Wolę.

— Dziwny z was człek. Wolicie ze starym gwarzyć...

— Nauczę się czego przy was.

— Tela umiecie, co świat!...

— Ba, gdybym wiedział, co świat!... tobym umiał coś. A tak — nic.

— Książki macie w głowie...

— Ale w książkach niema świata.

Popatrzał na mnie. Niby zastanawiał się... Nic nie odpowiedział.

— Jaka piękna noc! — przerwałem milczenie.

— Piekna! Bedzie pogoda, chwała Bogu. Da jutro jęcmień zebrać... Zeby ino tak wytrzymało choć do niedziele!

— Cicho! Słysycie? Jasiek gra... — ozwało się parę głosów.

— Jasiek idzie!... — powtórzyły cienkie głosy dziewcząt.

— Cicho!...

Wszyscy zamilkli naraz. Szepty tylko gdzieniegdzie zdradzały ogromną radość i zaciekawienie...

Wsłuchałem się uważnie w ciszę... Zdala dolatywało ciche kwilenie skrzypiec, miękkie, łzawe, melodyjne... Żałosne, przeciągłe tony cichły, to potężniały, jak skarga pokutującej duszy... Młody artysta grał własny poemat, odczuty prostem sercem... Myśli zlewał na struny, wyciągał je smyczkiem i rosła pieśń serdeczna — taka prosta, taka łzawa i bolesna... Słyszałem w dźwiękach, jak skarżył się:

„Czemu ja się nie urodził wilżą na polanie!
Piłbym ci ja srebrną rosę na noc, na świtanie...

Czemu ja się nie urodził brzozą na potoku!
Żeby mi się złote słonko przezierało w oku...

Czemu ja się nie urodził jedlą w harnym lesie!
Żebym słuchał bez dzień cały, jak się echo niesie...

Ino ja se, kieby smerek, w samotności żyję —
A nademną wiater płacze, abo wicher wyje..."

Kończył tę pieśń bez słów wybuchem dzikich tonów, jakby chciał ze złości na los struny pozrywać... Już był niedaleko. Dojrzał zgromadzonych i na ich swojską nutę zagrał skoczną, ale rzewną piosenkę. Ożyli zasłuchani... Parę dziewcząt odśpiewało zwrotkę na tę samą nutę. Jasiek grał i, powtarzając melodyę, zbliżał się powoli ku nam...

— Pięknie gra... — ozwałem się do sąsiada. — Jak te skrzypki mówią za niego, za całą duszę... jak się skarżą żałośnie! Słyszycie, jak te skrzypki grają?...

Podwójci podniósł powoli głowę i odrzekł prawie bezdźwięcznie:

— Skrzypki grają... edyć grają!... a mnie wiecnie *bieda gra*...

I jeszcze niżej głowę zwiesił.

KRÓTKI SEN.

Z okien domu nauczycielstwa I** światło biło, za przesłoną zamarzłych szyb zlewając się z łagodno srebrnymi promieniami księżyca...

Na werandzie, a raczej ganku, podpartym prosto rzeźbionymi filarami z drzewa, księżyc dwa cienie rzucał od słupów i szparą wciskał się do sieni przez podchylone, ciężkie drzwi... Ciekawy, zobaczyć chciał wesołą drużynę, której głośna rozmowa i śmiechy na zewnątrz się wydobywały...

Drzwi zamrożone skrzypnęły; na ganku ukazał się młodzieniec wysmukły. Wesołość, która pozostała na smagłej twarzy jego, jak zorza w błękitach po słońca zachodzie, powoli rozpływała się w matowym blasku księżyca i niedługo zastąpił ją jakiś wyraz nieokreślony, w którym jednak można było czytać smutek, rozmarzenie i tęsknotę... Podparł ręką palącą skroń, jakby chłódzić chciał żarne myśli i oczyma pił długo, powłóczyście czarowną błogość nocy zimowej.

A noc była cudna, jak baśń czarodziejska: noc nie do zabaw hucznych ale dumań i tęsknoty. Toż nie myślał wcale wracać do gości, których śmiechy, dziki kontrast z tą bezsłowną pieśnią księżyca, raziły go i wprawiały w rozdrażnienie, a to oczyma i gorączkową grą nerwów na zewnątrz się wydobywało. Księżyc bladymi promieniami łagodził to wrażenie. Muzyka głuszyła głośne rozmowy gości, ale muzyka wesoła, skoczna — wcale nie akompaniament do smutnych myśli młodzieńca...

— Bodaj całe życie tak prześnić!... — myślał rozmarzony i źrenice rozszerzył, wpatrując się w cuda natury, jakby je wszystkie czuciem chciał do serca zebrać...

— Tamci się bawią... Tam ja nie czuję się sobą. Jedną taką noc księżyca wyżej cenię niż lata głupiego życia!...

„O czarodziejska nocy księżycowa!
Do marzeń duszę porywasz, jak w sieci —
I obłąkana myśl ku tobie leci,
Szczęściem się poi, a cierpienia chowa“...

I myślą kończył pieśń podziwu...

Przy wyrazie „cierpienia chowa“ nerwowo twarz mu zadrgała; oczy zwrócił mimowoli ku sali, w której brzmiał ochoczy mazur.

— Ona tam się bawi... — myślał — Pewnie zwycięzkie spojrzenia rozsyła... a ja? ja waryat!... — i gorzko się rozśmiał.

— I ja tam śmiałem się z nimi tak szczerze, iż przez myśl nikomu nie przeszło, że to śmiech udany, maska co kryje posępną głębię duszy. Ona tak się jakoś dziwnie na mnie patrzyła, gdy przypadkiem spotkały się nasze oczy, a często się spotykały... Czyżby mnie zrozumiała?... Waryat! Chciałbym ją gwałtem wciągnąć w smutków i tęsknot świątnicę... Czemu się nie ma bawić?... Dobry sobie jestem. Ona odjedzie ach! już jutro!... Czemu się gniewam na to przypomnienie?... Dlaczego ona ma się mną krępować!... Czy powiedziałem jej kiedy, że ją kocham?... Ale ona powinna o tem wiedzieć!... powinna! — głupia myśl; chcieć, by ludzie dalej patrzeli, niż mogą... Ona odejdzie, w wielkomiejskim zgiełku, zapomni, że żyje na świecie jakiś... waryat... w zabawach życie przepędzi i... szkoda jej!... Znów głupia myśl. Jaki ze mnie egoista! Chciałbym, żeby dla mnie przejęła to życie pełne goryczy, żeby siły młode tu, w tej kuźni głupstw straciła i nie zaznała zabaw, czarów, rozkosz!... Ja zostanę sam... z myślami o niej... Czy będę mógł przynajmniej pracować?... I to nie... Myślą o niej zabiję każdą energii myśl i wpadnę w błoto razczarowań, apatyi, tęsknoty, która mię pożre przedwcześnie... A gdyby została?... Niemożebność!... Chciałbym to słowo wykreślić ze słownika języ-

ków ludzkich... Życie moje!... Najpiękniejszą wiosnę — smutkiem w jesień zamienić!...

Takie myśli pogmatwane przesuwały się po głowie dwudziestoletniego młodzieńca, bez ładu, jak jego pragnienia... a tam w sali bawią się wesoło, nikt nie zauważył tego, że jeden z wesołych młodych już od godziny zniknął... Chyba jedna osoba, która zaniepokojonem okiem ciągle ku drzwiom poziera. Wreszcie, niecierpliwa, wymknęła się z koła adoratorów i kołując po sali, zwinnie, jak ptaszę, popłynęła ku drzwiom i niepostrzeżenie znikła za niemi...

Na ganku stał w poprzedniej pozycyi młodzieniec i kto wie, czy myśli dalej rozsnuwał, czy też piersią i oczyma pił czary nienaturalnej... natury. Drgnął i przeczuciem wiedziony zwrócił szybko głowę ku otwartym drzwiom, gdzie stała młoda osóbka.

— Przepraszam... myślałam... — wyszeptała nieśmiało i nie wiedziała, jak dokończyć.

— To ja przepraszam, panno Maryo... żem opuścił wasze miłe towarzystwo...

— Miłe? widać, że nie bardzo miłe, kiedy się pan Władysław ulotnił...

— Taka cudna noc!... — przerwał w zachwycie Władysław.

— I dla tej nocy... — zacięła się panna Marya.

— Wyszedłem... — odpowiedział. — Zresztą

Pani i tak się bezemnie świetnie bawi... Tylu adoratorów!... — rozśmiał się nerwowo.

— Myśli pan?!... — zaprzeczyła.

Chwilę jakąś milczeli oboje.

— Pani jutro odjeżdża... — począł drżącym głosem Władysław.

— I może — i nie...

— Czy doprawdy?!...

— To zależeć będzie od okoliczności, czy zostanę...

— A te okoliczności?

— A te okoliczności... — powtórzyła Marya z namysłem — To pan... — dodała ciszej, przerażona głośno wypowiedzianą myślą.

— Ja?!... — zawołał ucieszony, niedowierzający jeszcze Władysław i oczyma wpił się w jej czarne źrenice... Długo patrzeli w siebie, a księżyc promieniem raz na jedno, drugi raz na drugie spoglądał. Księżyc dobry swat, promieniami ich łączył, i może pod jego wpływem zbliżyły się ich ręce i usta złączyły... Czarowna była noc, czarowniejsza jednak grupa dwojga szczęśliwych!... Z wewnątrz muzyka płynęła i nie było już kontrastu, ani dysharmonii pomiędzy wesołymi tony skrzypiec i miłosnym taktem dwojga serc...

— Maniu!... Władziu!... — szeptały wargi młodych. W tych dwu wyrazach streściła się powieść przeszłości i marzenia przyszłych dni...

W szczęciu czas płynie szybko, jak potok —

w smutku, jak powolna rzeka się toczy... Im czas widać szybkim strumieniem przepłynął, bo i śmiechy ustały w sali, muzyka przebrzmiała, a księżyc znudzony niecierpliwie promieniami muskał dwie głowy... To bladł, to się czerwienił... I oni ockli się ze snu... Kto wie, czy drugi taki prześnią?... Niedługo snów złotych — niedługo...

— Władziu czas — przerwała Marya uroczą mowę bez słów.

— Niestety!... — wyszeptał Władysław.

— Powrócimy osobno. Bo ludzie ludźmi. Domysły...

Jeszcze jeden, długi, namiętny pocałunek i Marya znikła za cieniem drzwi... Został Władysław — w tej samej pozie, co przedtem — tylko z innemi myślami... Tak samo były zagmatwane, ale wszystkie wesołe, pełne nadziei... Nadziejo! Kogoś ty nie zwiodła!!...

. . . .

* * *

I ja miałem czarowną noc księżyca — i ja miałem sen krótki, który mi jednak na zawsze zostanie w pamięci...

Oto wyszedłem z chaty mej pod lasem i wziąłem z sobą towarzyszki moje, by z niemi prześnić tę noc księżycową. A towarzyszki owe zo-

wią się Miłość i Prawda. Trzecią siostrzycę, której imię jest Fantazya, chciałem zostawić w chacie. Lecz ona gwałtem się uparła iść ze mną i nie miałem siły wstrzymać jej... Z trzema ukochanemi siostrzycami szedłem po ziemi, a zdało mi się jednak, że płynę powietrzem, bo pod stopami mgły widziałem i białą pościel śnieżną... Aż oto stanęliśmy na górze Śnieżnej, blado oświetleni promieniami księżyca... Siostrzyca Miłość wpatrzyła się we mnie i na dnie duszy mej jakieś nieznane przedtem zrodziło się uczucie. A ona zdjęła wzrok swój z mej duszy i poleciała nim na doliny... Za okiem jej szedłem niewolniczo — i widziałem na dolinie braci moich i siostry me, widziałem ich serca czyste i nieskażone żadną plamą... Chaty widziałem malownicze, łany zielone i łąki i sine lasy widziałem, tonące w blasku księżyca... Tęsknota niewytłómaczona ciągła mię do tych braci, pól i lasów — i zdało mi się, że tam chyba jest ów raj Chrystusowy... A oto zbliżyła się do mnie siostrzyca Fantazya i za mojem pobiegła spojrzeniem... I nagle obrazy owe poczęły mienić się barwami tęcz i obłocznych kolorów i występować ździwionemu oku rozkoszne i wspaniałe, o jakich nigdy we snach nie zamarzyłem...

— Boska moja ziemio! — zawołałem z przejęciem — czemu ja ciebie nie widział nigdy taką cudną i rozkoszną!...

— Siostrzyce! zejdźmy na doliny. Po co nam ku niebu latać! — i chciałem zstąpić pierwszy... Gdy oto Prawda, która smutna stała na uboczu, przybliżyła się do mnie i, kładąc na moją duszę swe załzawione wejrzenie, pociągnęła moje oko za swojem...

— Spojrz jeszcze raz ze mną na doliny!... — rzekła łagodnie.

Posłuszny siostrzycy, spojrzałem — i tchnienie zatrzymałem w bolesnym podziwie... Bo oto znikły mi obrazy cudne, jakie przedtem widziałem — a pozostała jakaś smętność czyścowa... Łąki chwastami porosły; tam, gdzie siniały lasy — nagich pniaków gromada sterczy... Na roli kamienistej, twardej, widziałem człeka, który mozolnie rył motyką ziemię niewdzięczną; pot spływał mu kroplami z czoła, a on z dziką zawziętością kopał ziemię i nie ustawał, póki korzonka nie dostał z pod kamieni... Wtedy rzucał motykę, siadł i połykał chciwie owoc dobyty. Ludzi widziałem gromadę, kłócących się zawzięcie o jedną skibę ziemi... Nędzarzy widziałem, którzy stali na podwórzu murowanego dworu; wiatr, jak pies, targał im resztę łachmanów i mrozem żarł czerwone ciało, a oni wzrok łakomy utkwili w okna wspaniałej sali. Widziałem nędzarzy gromadę, która wychodziła ze wsi na zachód, zapatrzona w słońce, złotem występujące z za oceanu... Wracając wejrzeniem, dostrzegłem na drodze człowieka mizernego, który

całował ręce bliźniego swego. A ów bliźni miał oblicze Izraela...

Zadrżałem, widząc to wszystko — i pogasło mi światło w oczach, a *cienie* przerażliwe zaległy mi duszę i myśli... I przystąpiła do mnie siostrzyca Miłość, którą Fantazya ujęła za rękę — i chciała mię wieść na doliny. Lecz jam Prawdzie-kochance rękę podał i począłem z nia zstępować na dół, kalecząc stopy na ostrych kamieniach... Za nami postępowały siostrzyce: Miłość i Fantazya... A księżyc od wysokich szczytów *cienie* rzucał na doliny i blado nam drogę oświecał...

Spis rzeczy.